

Zapiski z odnowy

Bronisław Kowalski
str. 3

Z HISTORII NAJNOWSZEJ SUDETY I ZAOLZIE

Leszek Siemion
str. 6

UFO nowa supertajna broń?!

str. 8

Kammena

LUBLIN 12 X 1980 NR 21 (715)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

MIARA WOLNOŚCI

ROZMOWA Z KAZIMIERZEM KUTZEM



Fot. CAF

Mirosław Derecki: — Przede wszystkim gratuluję sukcesu: pański film „Paciorki jednego różańca” zdobył Grand Prix 7 Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku. Po zrealizowanej przez pana w 1969 roku „Soli ziemi czarnej” i nakręconej w dwa lata później „Perle w koronie”, to kolejny wielki sukces artystyczny. Po raz trzeci zdobywa pan najwyższe laury za „temat śląski”, za niesłychanie umiejętnie, celne i niekonwencjonalne podjęcie tematyki robotniczej. Ma pan w dorobku trzy najsłynniejsze pełnometrażowe filmy fabularne, poczynając od nakręconego w 1959 roku, reprezentatywnego dla „polskiej szkoły filmowej”, debiutanckiego „Krzyża Walecznych”, aż po tę „śląską trylogię”. Pierwszy jej tom opowiada o walce górników o polski Śląk, o wolność naro-

dową, tom drugi — o ich walce o wolność społeczną, i wreszcie tom trzeci, dziejący się współcześnie, te „Paciorki jednego różańca” są chyba w głównej mierze traktatem na temat wolności osobistej. Myślę zresztą, że zdecydowana większość pańskich filmów — tych „wojennych” i tych „współczesnych” — dotyczy właśnie problemu wolności ludzkiej, rozpatrywanej w różnych sytuacjach i różnych aspektach. W „Paciorkach jednego różańca” główny bohater filmu, stary zasłużony górnik Habryka, był powstaniec śląski, a w latach po drugiej wojnie światowej — słynny przodownik pracy, jeden z tych na miarę Wincentego Pałrowskiego, honorowany najwyższymi odznaczeniami i powszechnie szanowany, nagle odmawia krocenia zgodnego z... „duchem czasu”.

Kazimierz Kutze: — Nie odmawia. On nie chce się zgodzić tylko na pewną interpretację owego „ducha czasu”, na określone widzenie współczesności czy też nowoczesności. A konkretnie mówiąc, Habryka nie chce się wyprowadzić — i to jest osi fabularną filmu — z domku w osiedlu górniczym, z tego domu rodzinnego, gdzie przeżył wiele lat gdzie rodzili się i wychowywały jego dzieci, z tego ogródka, gdzie pielęgnował drzewka owocowe, z tego obejścia, w którym hodował kury i króliki, i w którym było także miejsce dla jego psa...

Mirosław Derecki: — To wreszcie historia prawie autentyczna:

Dokończenie na str. 5

KTÓRY to już worek? — Czterdziesty szósty. Ten państwowy śmieciarz mnie przeklinie. — Spokojna czacha! Jeszcze pewnie nigdy tak się nie oblowił, jak teraz. Przecież te ciuchy są jeszcze niczego sobie. Może i na niego dobre? Ma podobną sylwetkę. — No, no! Ty tu mojego dziadka obok kopniętego śmieciarza nie stawiaj. — A te klocki? — Dawaj, jeszcze się zmieszczą. Jak ja to zaniósę? A ten moździerz odstaw na kuchnię. Teraz dobrze te starocie chodzą. Był drugi tydzień przygotowań do remontu.

Pałac

Krzysztof Janisz

Trzeba było oczyścić dom z „niepotrzebnych” rzeczy. Z ludzi już go „oczyszczono”. Ze starych ludzi. Cała, nie zburzona jeszcze stara dzielnica — tych kilkanaście domków, polepionych w większości na prędko grubo przed wojną — z zawiścią, a czasem z zazdrością, spoglądała swoimi wykrzywionymi oknami na lśniące po przeciwnej stronie ulicy, równe słupy szklanych tafli okien, co kończyły się gdzieś pod słońcem na dziesiątym piętrze. Nikt ze starych mieszkańców tej ulicy nigdy nie słyszał

Dokończenie na str. 4



Rys. Z. S. Pytlík

z notatnika

6.X. Cały mój notatnik, a więc to, co pisałem przed ostatnią sobotą i niedzielą, mogę tylko złożyć do prywatnego archiwum. A jednocześnie redaktorka techniczna „Kamena” dała mi (z naciskiem!) do zrozumienia, że jeśli dziś w nocy nie dostarczę tekstu do drukarni numer ukaże się — ze względu na ustalone harmonogramy druku tygodników!

Noe już właściwie zapadła, co ja tu mogę w ciągu tych dwóch godzin napisać przy takim ogromie zdarzeń? W innej sytuacji krajowej same wybory w RFN mogłyby mi zająć cały notatnik! A konflikt iracko-irański, który nie przyczynia się do stabilizacji stosunków międzynarodowych to też temat — rzeka. Iran — światowy producent ropy naftowej cierpi na brak benzyny. Eric Rouleau, specjalny wysłannik francuskiego dziennika „Le Monde”, pisze, że po zmasach tego kraju krążą jedynie autobusy, ciężarówki z zaopatrzeniem oraz pojazdy wojskowe. Kiedy przybył do Teheranu zauważył (nie trudno było zresztą nie zauważyć), że przed stacjami benzynowymi, która nie funkcjonowały ze względu na brak prądu, utworzyły się ogromne kolejki samochodów. Przed jedną ze stacji stała kilkukilometrowa (!) kolejka setek taksówek. W Teheranie wszystkie samochody prywatne w ogóle nie mogą się poruszać od świtu aż do zmroku. Pal jednak lecho, tego typu kłopoty! W bratobójczej wojnie giną ludzie, bomby burzą miasta, płoną rafinerie ropy naftowej i nie nie wskazuje na to, aby ten nowy konflikt zbrojny można było szybko załagnąć.

Ala teraz o sprawach, które nas, Polaków, interesują najbardziej. Dziś po szóstej rano, po chyba najdłuższej w dziejach PZPR debacie plenarnej, zakończyło się VI Plenum KC. W pierwszych wiadomościach warszawskiego radia zaraz po północy słyszałem jeszcze „debatę trwa”. Na szóstej rano nastawiłem radio-budzik: spiker poinformował, że dyskusja się zakończyła i przystąpiono do spraw organizacyjnych. Lektura porannej — a ściślej dziś południowej — prasy pozwoliła pogłębić wiadomości.

Sobotnie przemówienie I sekretarza KC, Stanisława Kania, śledziłem w telewizorze. Przemówienie... — źle się wyraziłem, bo mam na myśli referat Biura Politycznego. Kania czytał szybko, ale wyraźnie. Co innego jednak słyszeć, a co innego mieć tekst przed oczyma. Nie mam zamiaru streszczać wystąpienia, bo po prostu nie starczyłoby na to miejsca. Sądząc jednak, że kilka spraw warto uwypuklić.

Referat był napisany prostym językiem, zrozumiałym dla każdego. Uderzała — choć przecież należało się tego spodziewać — szczerść, bezpośredniość. Chcę uniknąć słów, które, ciągle przedtem nadużywane, uległy dewaluacji. Ale to był zupełnie inny referat jeśli go się porówna z tymi, które słyszeliśmy dawniej...

„Trzeba — i to jest jasne — poszukiwać i będziemy poszukiwać różnych kształtów odnowy, ale tylko na socjalistycznym szlaku rozwoju Polski [...]. Przyszłość Polski jest na trwałe związana z socjalizmem. Tak potrzebna odnowa życia społecznego może być jedynie socjalistyczną odnową, a siłą wiodącą tego procesu będzie Polska Zjednoczona Partia Robotnicza”.

Mówiąc o ostatnich wydarzeniach Stanisław Kania powiedział: „Ubogi byłby [...] pogląd, że po 36 latach socjalistycznego budowania i wychowania nasł przeciwnicy klasowi mogli stworzyć masowy ruch wymierzony przeciwko socjalizmowi. Dziś w naszej partii istnieje zgodność co do charakteru konfliktu, jaki przeżyliśmy. Był to masowy, robotniczy protest nie przeciw socjalizmowi, a naruszeniom jego zasad, nie przeciw władzy ludowej, a przeciwko niedobrym manierom rządzenia, nie przeciw partii, lecz przeciwko błędom w jej polityce. Nie trzeba też upraszać ocen. Nie był to sprzeciw konsumentów, lecz protest obywateli, nie sprzeciw najemnych pracowników, lecz klasy, która ma poczucie wiodącej swojej Rzeczypospolitej”.

Aktualny stan naszej gospodarki narodowej nie przedstawia się różowo. Nastąpiło ogromne przeciążenie tej gospodarki inwestycjami, co naruszyło proporcje podziału dochodu narodowego między akumulacją a spożyciem. Wysoce nierozważne było zadłużenie kraju — tu przekroczone została wszelka miara. Proporcje w gospodarce kształtowały się w dużym stopniu żywiołowo. W istocie działano bez planu.

Nie docenione zostało znaczenie rolnictwa. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych politykę rolną cechowała chwiejność i nadmierne poleganie na zabiegach administracyjnych. Również wzrost spożycia przebiegał pod wieloma względami żywiołowo, a trwałe naruszenie równowagi rynkowej spowodowało nadmierne zróżnicowanie zarobków i dochodów. Pleniła się korupcja i spekulacja wynikająca z łatwiejszego dostępu do deficytowych dóbr. Prowadziło to do przechwytywania części dochodów ludności przez czarny rynek i pasywność społeczne. Rozstrojenie naszej gospodarki pogłębiły zjawiska kryzysowe na Zachodzie.

„Duże szkody — cytuję dalej referat Biura Politycznego — wyrządziła tak zwana propaganda sukcesu, szczególnie natarczywie uprawiana w telewizji. Jej jednostronność rozmięła się ze zdrowym rozsądkiem. Trzeba w tym miejscu uczciwie powiedzieć, że koncepcja ta wzbudzała sprzeciw w środowisku dziennikarskim. Niestety, nie brano ich pod uwagę. Od czasu, gdy sukcesów było coraz mniej, propaganda taka, obiektywnie rzecz biorąc, przeciwstawiała społeczeństwu partii, pogłębiając kryzys zaufania i wywołując niewiarę nawet w racjonalne argumenty. Stało się to jedną z istotnych przyczyn naruszenia więzi kierownictwa partii z aktywem i członkami partii, z ludźmi pracy. W konwencji wyłączonego propagowania „sukcesów” zabrakło miejsca dla krytyki, dla prawdziwych ocen i opinii”.

Co robić, aby wyprowadzić kraj z kryzysu? Biuro Polityczne przedstawiło środki doraźne a także dłuższofalowe. „Do działań najpilniejszych — głosił referat — zaliczamy dodatkowy import żywności i wyrobów rynkowych, surowców i elementów kooperacyjnych, zwłaszcza ze Związku Radzieckiego i pozostałych krajów socjalistycznych, drastyczne ograniczenie wydatków budżetowych i inwestycyjnych, a także inne radykalne przedsięwzięcia na rzecz poprawy sytuacji rynkowej. Do Sejmu wniesiona zostanie propozycja zatrzymania kilku największych inwestycji o długim cyklu i wysokiej kapitałochłonności. [...] Zwolniony potencjał budowlany będzie skierowany na inwestycje służące poprawie zaopatrzenia rynku oraz rozwój rolnictwa i kompleksu żywnościowego”.

A co dalej? „W dłuższej perspektywie gwarancją polityki gospodarczej, zgodnej z interesami kraju i oczekiwaniami społecznymi będzie przeprowadzenie głębokiej reformy systemu kierowania i zarządzania gospodarką narodową. Musi ona zapewnić oparcie wszystkich działań i decyzji gospodarczych na ściśle stosowanym rachunku ekonomicznym, zwiększyć efektywność, dać przedsiębiorstwom daleko idącą samodzielność, a władzom centralnym możliwość skutecznego sterowania procesami gospodarczymi. [...] Reformę gospodarczą musimy starannie przygotować. [...] Celem naszym jest przywrócenie równowagi, a następnie zapewnienie systematycznego wzrostu produkcji i dochodu narodowego”.

Dalsze problemy, które znalazły się w referacie, to odnowa ruchu związkowego,

sprawy wsi i rolnictwa, demokracji socjalistycznej, wspotuzamiana obywateli, zagadnienia związane z nauką, oświatą, kulturą i sztuką. W tym miejscu warto uwypuklić taki fragment referatu: „W przeszłości wielu twórców, również partyjnych, przestało wspierać politykę partii. Jest wśród nich szereg wybitnych pisarzy i poetów, zasłużonych dla polskiej literatury. Różne są tego przyczyny i wszelkie próby jednostronnego ich naświetlenia nie byłyby słuszne. Dlatego chcemy zamknąć rozdział przeszłości, rozpocząć nowe stosunki partii z twórcami, oprzeć je na zasadzie wzajemnego zrozumienia, życzliwości i zaufania”.

Końcowe fragmenty referatu dotyczyły leninowskich zasad działania partii, istoty jej kierowniczej roli, ciągłości polityki zagranicznej Polski a także realizacji porozumienia.

„Polityka porozumienia i współpracy jest dziś jedyną szansą naszego kraju. Wymaga ona cierpliwości ze strony władzy, ale także umiaru i zdyscyplinowania ze strony społeczeństwa. [...] Byłoby jednostronne i niesłuszne, gdyby sprowadzać wszystko do poprawy „góry”, chociaż na niej ciąży największa odpowiedzialność. Aby było lepiej, wszyscy musimy być lepsi, to znaczy przede wszystkim lepiej kierujący i lepiej pracujący. Innej drogi nie ma”.

W dyskusji nad referatem Biura Politycznego zabrało głos kilkudziesięciu mówców. Wypowiadali się również i ci, którzy dopowiadali kraj do obecnej sytuacji. Zapewne gorzko im było słuchać słów krytyki, do której nie przywykli. Ale za błędy przez nich popełnione płaci dzisiaj cały naród!

Z dyskusji chciałbym przytoczyć (znów ten brak miejsca...) niektóre sformułowania, wybrane zresztą wyrywkowo:

ROMAN NEY: Partia powinna uzyskać konieczny dystans do tego, co dzieje się w rządzie i innych organach. Dlaczego sekretarz partii musi popierać w Sejmie propozycje, które składa rząd, dlaczego musi być referentem planów. Także w łonie Sejmu potrzebna jest prawdziwa dyskusja, kontrolerska — jednemu za wszelką cenę, fikcyjna — naprawdę do niczego nam w tej chwili nie jest potrzebna.

HENRYK RECHOWICZ: Komitet Centralny musi mieć możliwość wypowiadania się we wszystkich kwestiach, oceniania pracy I sekretarza KC, Biura Politycznego, Sekretariatu, rządu itp. Jest to jedna z podstawowych gwarancji, że nie przeżyjemy już więcej kryzysów, że będziemy mogli wpływać na bieg wydarzeń. Przychyłam się do wyrażonej tutaj opinii, że dobrze by było, żeby w Biurze Politycznym np. nie zasiadali wicepremierzy, ministrowie itd., żeby władza się nie dublowała, żeby partia mogła wpływać na działalność rządu nie przez to, że tu i tu ci sami ludzie decydują.

MIECZYSLAW MOCZAR: Brak odpowiedzialności, który, niestety, był przez 10 lat sankcjonowany w naszej partii, nie może powrócić się już nigdy. Natomiast dziś najważniejsze jest, abyśmy wszyscy zdali sobie sprawę, że wielka rzeka minionego dziesięciolecia już wpłynęła do morza. [...] Jestem przekonany, że wystarczy nas, członków partii oraz bezpartyjnych, abyśmy zdołali zamknąć wszystkie szlabany dla spryciarzy, pochlebców, dwulicowców, a dać zielone światło ludziom ideowym, mądrym i śmiałym, uczciwym przyjacielom naszej idei.

WŁADYSŁAW KRUK: Podstawową sprawą jest dziś wewnętrzna odbudo-

wa partii. Wiąże się to z jednej strony z rzeczywistym funkcjonowaniem demokracji wewnątrzpartyjnej, przywróceniem statutowej roli wybieralnym organom partyjnym i kolegalności pracy jej ogniw, a z drugiej — z moralnym oczyszczeniem naszych szeregów i wypracowaniem statutowych organizmów zapobiegających w przyszłości powstawaniu deformacji i wypaczeń.

STEFAN OLSZOWSKI: Kryzys polityczny ma swoje źródło w błędach, których korzenie tkwią w funkcjonowaniu byłego kierownictwa partii, odejścia od linii VI Zjazdu. [...] Od połowy minionego 10-lecia wyraźnie zanikała kolegalność decyzji. Powodowało to stopniowe iniejały i obniżanie poczucia przydatności u wielu komunistów. Przestały istnieć i funkcjonować ciała kolegalne, społeczne i doradcze wewnątrz partii. Pojawiło się zjawisko teatralności życia partyjnego, sztuczny optymizm w informowaniu kierownictwa.

TADEUSZ GRABSKI: W jednej kwestii nie może być na dzisiejszym plenum najmniejszej wątpliwości. Jest nią mianowicie sprawa osobistej odpowiedzialności partyjnej osób, które odeszły z kierownictwa na IV i pierwszej części VI Plenum. Ludzie ci bowiem skompromitowali partię wobec narodu, wobec świata, ludziom tym kiedyś zaufaliśmy, a dzisiaj często wstydzimy się ich nazwisk.

JÓZEF TEJCHMA: W partii powinno być najwięcej wolności [...], czyli najwięcej swobodnej dyskusji, jawnego krążenia opinii, sporów, ocen i krytyki.

MIECZYSLAW JAGIELSKI: Robotnicy nie są ludźmi, którzy by chcieli tylko brać. [...] Głęboko wierzę, że wydajność będzie większa, jakość wyższa, gospodarowanie efektywne i oszczędne, jeśli załogi będą jasno widzieć cel swego trudu...

KRYSTYN DĄBROWA: W Krakowie jesteśmy na dobrej drodze do ukształtowania właściwego stosunku partii ze związkami zawodowymi, niezależnie od ich nazwy. Jesteśmy stanowczo przeciwko tym, którzy mówią o nowych związkach „oni” albo „przeciwnicy”.

KAZIMIERZ BARCİKOWSKI: Nigdy nie pogodziłem się z tym bezrozumnym przekonaniem, że sprawność, sprawiedliwość i stabilność państwa w Polsce można oprzeć na choćby najlepszych wojewodach, naczelnikach i soltysach, a życie gospodarcze na pionowo uporządkowanej hierarchii dyktatorskiej. Jaka jest społeczna siła takiej władzy, to się właśnie przekonaliśmy. Staje się ona samotna i bezradna w obliczu ludzi niecierpliwych i rozgoryczonych swoim bezczestnictwem. Trzeba szybko odrzucić te koncepcje władzy zrodzone ze skrzyżowania kaprałowskiego wyobrażenia o rządzeniu i uproszczonym wyobrażeniem o przeniesionym z kapitalizmu menadżerstwem.

Plenum przyjęło uchwałę, w której m.in. mowa jest o podjęciu przygotowań do zwolnienia nadzwyczajnego IX Zjazdu partii. Uchwała ta, jak i decyzje personalne znane są z doniesień środków masowego przekazu. Nie mniej w tym miejscu trzeba odnotować powołanie Władysława Kruka, I sekretarza KW w Lublinie, na zastępcę członka Biura Politycznego KC PZPR.

Dorobek VI Plenum jest poważny. Jednocześnie nastraja do wielu refleksji. Ale to już temat na dni następne.

M. A. Jaworski

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechezye-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Henryk Palak (kierownik działu literackiego), Maciej Podgórski, Waldemar Stępień (fotoreporter) Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Informacji o warunkach prenumeraty udziela Oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 7 zł. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 80-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki w godz. 10-12 i piątki w godz. 14-15.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch”, Kombinat Wydawniczo - Kolportażowy w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.

Zam. 2550/80. W-7.

PL ISSN 0137-7108
Nr indeksu 36351

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecenie i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zapiski z odnowy

Bronisław Kowalski

10 WRZESNIA, w Świdniku, podczas zebrania, na którym delegaci załóg z dwudziestu siedmiu zakładów pracy powołał regionalny komitet założycielski Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych, ustalono, iż następne spotkanie komitetu z delegatami świata pracy odbędzie się za tydzień, 16 września. W ciągu tego tygodnia członkowie komitetu spędzili wiele godzin na rozmowach z wojewodą lubelskim, Mieczysławem Stępnem. Rozmowy były od samego początku prowadzone w tonie uprzejmym, z obustronną chęcią dojścia do porozumienia, ale nie były to łatwe rozmowy. Przez tydzień trwała dyskusja nad uchwałą, opracowaną podczas świdnickiego zebrania. Wojewoda przyjął do wiadomości treść tej uchwały, ale wykazywał jej niedostatki treściowe i stylistyczne, nie od razu też mógł spełnić wymóg jak najrychlejszego wyznaczenia lokalu dla komitetu. Rozpoczęły się trudne szachy, jak nazwał rozmowy w Urzędzie Wojewódzkim jeden z członków komitetu.

We wtorek, 16 września komitet spotkał się z delegatami pracowników 154 zakładów pracy w Domu Kultury Kolejarskiej. Sala widowiskowa była wypełniona do ostatka. Większość delegatów informowała, iż komitety założycielskie NSZZ już działają wśród załóg robotniczych i pracowniczych.

Ale komitet miał do spełnienia ciężką misję — trzeba było przedstawić stan rozmów i ustaleń z wojewodą lubelskim. Gdy przewodniczący komitetu, Czesław Niezgoda, oznajmił zebranym, iż należy zaakceptować poprawki w uchwale z 10 września, proponowane przez wojewodę, na sali wybuchła fala protestu. Ludzie, którzy nie mogli znać całej przychylności władz wojewódzkich i zdecydowania komitetu, zakwestionowali decyzję przewodniczącego. Rzeczywiście — z pozoru posunięcie miało cechy generalnych ustępstw. Tylko że zebrani nie wiedzieli, na czym te ustępstwa polegają. Rozgorzała nieoponowana dyskusja. W zaciętrzewieniu padały błędne oskarżenia i niefortunne wnioski. Dopiero przypomnienie, że zarówno komitet jak i władze wojewódzkie działają ściśle w myśl porozumień podpisanych w Gdańsku i w Szczecinie, przywróciło równowagę niektórym dyskutantom.

Późnym wieczorem zakończyło się to drugie zebranie, ale zakończyło się

pomyślnie. Przyjęto uzgodniony przez obie strony — komitet i władze — tekst uchwały. Nie było w nim już zdania o strajku, ale wszyscy zgodzili się, że podczas tych pierwszych konsultacji nie ma co wysuwać spraw ostatecznych posunięć, spraw strajkowych. Obserwując salę, uświadomiłem sobie, że oto doskonali się akceptowana przez robotników forma rzetelnej współpracy z władzami wojewódzkimi. Trudno sobie wyobrazić, by bez tej współpracy mogły działać rozważnie i skutecznie zarówno władze, jak i komitety robotnicze. Oczywiście jest sprawą, że lipcowe doświadczenia w Lublinie nauczyły obie strony rozumienia się, szacunku dla swych żądań i umiejętności prowadzenia rozmów.

Tekst uchwały mógł się już ukazać w prasie. Wojewoda nazwał te kilka stron historycznym dokumentem. Bardzo trafna uwaga.

Członkowie prezydium komitetu następnego dnia wyjechali do Gdańska. Pojechali tam niewyspani i zmęczeni. Wrócili w czwartek jeszcze bardziej zmęczeni. Stanisław Daniel, wiceprzewodniczący komitetu, mówił, że przede wszystkim musi solidnie odpocząć. Czesław Niezgoda postanowił sobotę i niedzielę wreszcie poświęcić wyłącznie dla rodziny. Ale jeszcze w piątek spotkali się po południu z wojewodą lubelskim. Ustalono ostatecznie przydział lokalu dla komitetu — przy ul. Okopowej 7.

18 września przywieziony został przez delegację lubelskiego komitetu tekst statutu NSZZ. Sformułowania statutu całkowicie różniły się od biurokratycznych, rozległych i niejasnych projektów ustawy o związkach zawodowych, wydawanych we wrześniu przez CRZZ. Zresztą projekty CRZZ coraz bardziej traciły na aktualności, gdyż oprócz oddolnego powstawania Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych również i zarządy główne niektórych związków ogłaszały odłączenie się od CRZZ.

18 września środowisko lubelskich nauczycieli zbulwersowane zostało wiadomościami podanymi przez „Kurier Lubelski”: Zarząd Główny ZNP uchwałił 12 września że cały ZNP

staje się związkiem niezależnym i samorządnym. Obok tej wiadomości ujawniono inny fakt — w Lublinie powstała rada koordynacyjna, którą powołał ZG ZNP jeszcze 29 sierpnia, a która miała stanowić załóżek zarządu okręgu Związku Nauczycieli Polskich.

Ogłoszenie o istnieniu rady wywołało gwałtowne niezadowolenie wśród lubelskiego środowiska nauczycielskiego. W takiej atmosferze Miejska Rada Zakładowa zwołała na 22 września zebranie w Domu Nauczyciela. Przedstawiony został projekt odnowy Związku, opracowany przez Zarząd Główny. Z inicjatywy Zarządu Głównego ZNP nauczyciele lubelscy od 12 do 22 września przygotowali ogromną ilość wniosków, wskazujących na konieczność poprawy warunków pracy i życia nauczycieli. Odczytano na sali znaczną część tych wniosków. Komisja stwierdziła, że napłynęło ich ponad 250. Wynikało z nich, że ZNP zaniedbywał obrony swych członków w podstawowych kwestiach, że nauczyciele byli grupą zawodową niesprawiedliwie i krzywdząco traktowaną wśród innych grup pracowniczych, zwłaszcza w sprawach materialnych i socjalnych. Już nie tylko szło o podwyżki płac, ale również o ilość godzin pracy i wolne soboty, o świadczenia dla emerytów, o zakupy artykułów dla szkół itd., itd.

Nie znalazły się natomiast na liście wnioski dotyczące zmian w systemie nauczania. Kilku dyskutantów na sali wskazało jasno, że należy koniecznie rozpatrzyć sposób nauczania języka polskiego, historii, nauki o społeczeństwie, że okrojony jest program tych przedmiotów. Podkreślono, iż trzeba walczyć o sprawy socjalne, ekonomiczne, ale że kwestie właściwego wychowania młodego pokolenia, i spełnienie niezbędnych warunków do tego celu, są pierwszoplanowe w pracy pedagogów.

Padło też z sali pytanie dotyczące rady koordynacyjnej:

— Skąd się wzięła ta rada?

Prezes Miejskiej Rady Zakładowej nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, chociaż jego nazwisko znalazło się również wśród 17 członków rady. Z sali domagano się ustalenia, kto jest kto w radzie. W trakcie odczytywania listy okazało się, że tworzą ją z reguły dyrektorzy i wicedyrektorzy placówek, kierownicy, prezesi itd. Była nawet przedstawicielka WRZZ. Prawdopodobnie tylko te osoby zostały wtajemniczone w to, co miała koordynować rada. Nauczyciele bowiem próbowali przeniknąć tajemnicę i zagadki rady, ale nikt im wyjaśnić nie udzielił. Zarząd Główny ZNP, odłączając się od CRZZ 12 września, nie ogłosił rozwiązania rad koordynacyjnych. W Lublinie ukończyła się ona 8 września, a więc zaistniała jeszcze w starej strukturze Związku, ale w „nowej” nie nie powiadziano o likwidacji poprzednich błędów organizacyjnych. Błędów, gdyż rada powstała nie z wyboru, a z nominacji, chociaż miała być ciałem związkowym.

Z tych względów na zebraniu poniedziałkowym przesiadki zgłosili wotum nieufności wobec rady.

Skąd powstały nieporozumienia? Stąd mianowicie, że ZG ZNP ogłosił samorzutnie cały związek niezależnym i samorządnym. Dokonano tego bez konsultowania się z członkami związku, którzy powinni większością głosów opowiedzieć się, jakich zmian oczekują. Zarząd Główny spowodował spisanie wniosków krytycznych, ale zostały one skierowane do Zarządu Głównego. Postulaty skierowano na ręce i za przyzwoleniem tych osób, które przez wiele lat doprowadziły do bezwładu Związku i jego zlej działalności. Była to szczególna forma samokrytyki. Czy po takiej akcji można być absolutnie pewnym, że ci sami ludzie zdolają się nagle odmienić i spełnić raptem to, czego dotąd spełniać nie umieli, lub nie byli w stanie?

Votum nieufności potwierdziło, że oddolne powstawanie nowych związków może być jedną z gwarancji nieprzejmowania biurokratycznych

form istnienia i działania dawnych związków. Praktyka związkowych decyzji odgórnych jest poza tym jeśli nie bezprawna (?), to na pewno rodzi niebezpieczeństwo, że do nowego tramwaju zabiorą się dawni pasażerowie, nie wszyscy chętnie widziani.

Następnego dnia rozmawiałem z dyrektorem LO im. Staszica w Lublinie, którego nazwisko również znalazło się na liście rady koordynacyjnej. Wytłumaczył mi on, że do rady weszły osoby powołane przez kierownika oddziału ZG ZNP w Lublinie; że on sam, dyrektor i długoletni nauczyciel, nie wiedział nic o powołaniu swej osoby w skład rady. Nie chciałem dyrektora tego Liceum o nic oskarżać, ani za nie piętnować. Wybrałem z listy na chybił trafił. Widać, było, że czuł się postawiony w niezręcznej sytuacji. Nie dziwiłem się.

Rozmowie naszej przez chwilę przysłuchiwała się pani prezes ogniska związkowego w Liceum, która powiedziała:

— No, widzi pan, pan dyrektor też nie nie wiedział.

Można mi różne rzeczy wmówić, ale nie to, że dorosły człowiek nie wie, jak dysponują jego osobą ludzie, którzy są z nim na co dzień niemal w kontakcie. Zresztą dyrektor sam przyznał, że rada ukończyła się 8 września.

Dyrektor miał natomiast pretensje do Zarządu Głównego, że po decyzji z 12 września nie odwołał on tej niedemokratycznie wybranej rady. Zapytałem wówczas, co stoi na przeszkodzie, by dyrektor, wiedząc o nieprawidłowości powołania i istnienia rady, sam zgłosił swe wystąpienie z tego ciała? Otrzymałem odpowiedź, że ta rada nie może już działać. Ale nie dowiedziałem się, kto o tym z kolei zadecydował.

To szczegółowe opisanie różnych, wzajemnie się przeplatających spraw, dotyczących ZNP, służąc ma objaśnieniu jednej kwestii: już we wrześniu jasne było, że odnowa ruchu związkowego nie może polegać na decyzjach odgórnych poszczególnych zarządów. Ruch odnowy musi iść od dołu, od szeregowych członków związku.

Odnowa ruchu związkowego w ostatecznych dniach września obejmowała już nie tylko środowiska robotnicze i pracownicze, zgłoszone wcześniej do regionalnego komitetu założycielskiego. Objęła ona również dziennikarzy lubelskiej prasy i radia, pracowników naukowych UMCS, pracowników LSS i innych środowisk pracy. Kierunek tych przemian dookładnie określił robotnicy z FSC w Lublinie w dniu 23 września: Wszystkie braki dotychczasowej działalności Związku Zawodowego, łatwość, z jaką poddawali się one komendowaniu władz, dyrekcji poszczególnych zakładów, gorliwe aprobowanie niekorzystnych dla pracowników decyzji, niechęć do występowania w obronie interesów pracowniczych, biurokracja — stały się drugą naturą li-cyjnych rzesz tak zwanych działaczy, a w rzeczywistości zawodowych funkcjonariuszy związkowych, wrosły głęboko w strukturę organizacyjną i styl działania dotychczasowych związków. W tej sytuacji warunkiem powstania związków naprawdę niezależnych i samorządnych, które byłyby rzeczywistym reprezentantem załóg i ich interesów, jest tworzenie zupełnie na nowo. Nowe związki winny powstawać przez dobrowolne zrzeszenie się pracowników organizujących się w komitety założycielskie całkowicie poza dotychczasowymi strukturami związkowymi. Nie oznacza to oczywiście, by poszczególni członkowie starych rad zakładowych nie mogli, jeżeli cieszą się rzeczywistym zaufaniem załogi, wejść w skład nowych rad zakładowych.

24 września delegacja komitetu zgłosiła do rejestru w Warszawie niezależne samorządne związki zawodowe regionu środkowo-wschodniego. Dokonano tego wraz z delegacjami NSZZ z innych regionów Polski. Następnego dnia wojewoda lubelski wręczył członkom komitetu klucze do lokalu przy ul. Okopowej.



Rys. Z. S. Pytlík

MIARA WOLNOŚCI

Dokończenie ze str. 1

zajęcia były kręcone w Giszowcu pod Katowicami, w czasie rozbiórki osiedla domków robotniczych; teren potrzebny był na postawienie wielopiętrowych domów mieszkalnych. Szły podług spychacza nie tylko domy, ale i cała otaczająca je ziemia: ogródki, drzewa, krzewy, sadzone kiedyś rękami mieszkających tutaj górników. Warto przy okazji dodać, że osiedle w Giszowcu zostało wybudowane przed I wojną światową, przez jednego z właścicieli tutejszych kopalni, który przejął się ideami Proudhona: Giszowiec to miało być właśnie proudhowskie miasteczko-falanster... A co się tyczy samego filmu, jego podstawowego, ideowo-filozoficznego przesłania, to wydaje mi się, że charakteryzuje je najpełniej scena rozmowy starego Habryki z dyrektorem kopalni, który za wszelką cenę stara się skłonić zasłużonego górnika do opuszczenia domu, i nietamowania prac niwelacyjnych, powołując się m.in. na Karola Marksa oraz „Manifest Komunistyczny”. (Pozwolę sobie tutaj przytoczyć fragment tekstu Hanny Krall, opublikowanego w nr 42 „Polityki” z 1979 r. i opisującego spotkanie z odtwórcą roli Habryki — emerytowanym górnikiem, Augustem Halottą):

W tym filmie przychodzi do Habryki dyrektor kopalni i mówi: — Wiecie, panie Habryko, co powiedział taki jeden mądry z brodą?

— Kery, pytam, bo jest ich wielu. Czy ten, co pedziol, że coś nad Europą krąży?

— Ten, ten. Powiedział, że wolność jest to prawo do czynienia co nie szkodzi innym.

— To się zgadza w stu procentach, mówię mu, ale przede wszystkim wos tyczy. To wy stawiacie interes kopalni wyżej od zaskąd i szczęścia ludzi. A moja uina polega ino na tym, że jej łodebrać nie pozwala, bo jo uin, co to jest moja wolność...

Treść i wymowa „Paciorków jednego różańca” były dla wielu osób zaskoczeniem i swego rodzaju objawieniem. Szczególnie mocno zabrzmiął ten film w pejzażu tego, co się ostatnio w Polsce zdarzyło i co się nadal tworzy...

Kazimierz Kutz: — Może istotnie wielu ludzi doznało teraz nagłego oświecenia... Bo ja — nie. Wszystko, o czym opowiadał w swoim filmie, istniało, było prawdą, tylko może nie wszyscy chcieli, czy potrafili, ją dostrzec. Może to teraz jest oświecenie dla tych „Dziewięciu gniewnych” z naszej telewizji, którzy swego czasu, w swoim programie, bardzo nisko ocenili „Paciorki jednego różańca”. A może istotnie ci ludzie, co siedzą w telewizji, tak niewiele wiedzą o tym, co się dzieje wokół nich, w kraju? Dlatego trochę mnie teraz irytuje ta zbiorowa euforia na temat „Paciorków jednego różańca” i także na temat tego, co się wydarzyło w sierpniu na Wybrzeżu, a potem w całym kraju. No, ale cieszę się, oczywiście, z tej nagrody bardzo. I cieszę się jeszcze dlatego, że przy ogólnym poziomie, jaki reprezentował tegoroczny festiwal filmowy, było jednak co nagrodzić. Tak. Nie najwyżej oceniam obecny festiwal, i mam tylko nadzieję, że mój film nie wszedł na najwyższe podium żadnymi „bocznymi” drzwiami, że sumiennie zasłużył na swoją nagrodę.

Mirosław Derecki: — Trzeba powiedzieć, że — niezależnie od poziomu artystycznego, który poza kilkoma naprawdę doskonałymi filmami, był dużo niższy od dotychczasowej przeciętnej — ten festiwal, jak również odbywające się tutaj, w Gdańsku, Forum Stowarzyszenia Filmowców Polskich, działy się w szczegól-

nej, powiedziałbym — podniosłej atmosferze.

Kazimierz Kutz: — Wie pan, teraz to prawie wszyscy są „na czele”. Są nawet tacy, co powiadają, że oni to wszystko, co stało się w sierpniu, już wcześniej przewidzieli, a znowu inni — gotowi są twierdzić z pełnym przekonaniem, że oni zawsze byli bardzo postępowi, że myśleli o tym samym, co robotnicy itd., itp. I słusznie powiedział jeden z naszych kolegów podczas obrad Forum, że „teraz to wszyscy są na przedzie, a gdzie podzieli się ci z tyłu?”. Może to ja jestem z tyłu...? Teraz to wszyscy są odważni. I nikt nie chce jakoś pamiętać słów Janusza Kijowskiego, który zarzucał filmowcom, że ich odwaga staniała, a dobre samopoczucie wzrosło. Dzisiaj wszyscy gotowi są wygłaszać i rozwijać teorie, jak to mój film porusza się w środowisku robotniczym, jaki to jest interesujący film o robotnikach i ich problemach... A ja bym chciał, żeby uświadomiono sobie, że „Paciorki jednego różańca” to przede wszystkim film o prostym, zwykłym, starym człowieku, który ma swoje problemy. I że tego rodzaju problemy są istotne nie tylko w Polsce, ale pod każdą szerokością geograficzną. Jest to przede wszystkim film o człowieku, jest to opis zwyczajnej ludzkiej codzienności.

Mirosław Derecki: — Jednak poza ogólnoludzkim wymiarem mają przecież „Paciorki jednego różańca” swoje zdecydowane przesłanie publicystyczne.

Kazimierz Kutz: — Oczywiście. Mój film jest wpisany w jakąś konkretną rzeczywistość i ja z tej rzeczywistości starałem się wydobyc sprawy i konkretności natury ogólnej.

Mirosław Derecki: — Nakręcił pan nie jeden film o tematyce robotniczej. Niech mi pan powie, czy w kraju, w którym klasa robotnicza uważana jest za wiodącą siłę społeczeństwa, narodu, łatwo jest kręcić o niej filmy? Czy łatwo jest zrobić „temat robotniczy”?

Kazimierz Kutz: — Wręcz przeciwnie. Jak się robi film o robotnikach — mówię o filmie zmierzającym do pełnego, obiektywnego spojrzenia — to się ma takie problemy z tym, co się chce wyrazić! Na przykład perypetie z „Paciorkami jednego różańca” zaczęły się wówczas, kiedy był on już gotowy i przygotowany do rozpowszechniania. Były na Śląsku wręcz nagonki na ten film. A co do rozpowszechniania, zrobiono to w taki sposób, żeby jak najmniej ludzi mogło „Paciorki” obejrzeć. Powiem panu więcej: ma ten film cały szereg wycięć, na które musiałem się zgodzić. Zgodziłem się dla dobrej sprawy, bo cęcia nie wypaczały jednak ogólnej idei filmu.

Mirosław Derecki: A czego dotyczyły, najogólniej rzecz biorąc, owe wycięte fragmenty?

Kazimierz Kutz: — Miedzy innymi problemu władzy. Ale powtarzam, mogłem przystać na te skróty, bo moje przesłanie zostało w filmie zachowane, a mnie nie odpowiada status cierpielnika, męczennika czy zbawiciela.

Mirosław Derecki: — I co dalej? Przed kilkoma miesiącami powiedział pan w jednym z wywiadów, że ma pan dosyć „śląskiego tematu” w swoich filmach...

Kazimierz Kutz: — Tak. Tak powiedziałem. I nadal mam go dosyć. „Paciorki jednego różańca” były ostatnim filmem z tych o Śląsku. Formuła estetyczna się wyczerpała... Wyczerpała się pewna fascynacja. Co mnie fascynowało, to przedstawiłem; co chciałem powiedzieć, to już powiedziałem. Żeby przystąpić do

stworzenia jakiegoś filmu, reżyser musi ulec całkowitej fascynacji tematem. Ja nie zaczął robić filmu, jeżeli się czymś głęboko nie przejmę.

Mirosław Derecki: — Ja myślałem, że to normalne u każdego reżysera...

Kazimierz Kutz: — Nie, proszę pana, to należy wśród wielu reżyserów do rzadkości.

Mirosław Derecki: — Co więc pana ostatnio fascynuje?

Kazimierz Kutz: — Minęło już sporo miesięcy od czasu, jak skończyłem „Paciorki jednego różańca”, dopiero jednak teraz zabieram się do nowego tematu. „Dziesięciu z Pawiaka” to będzie nawiązanie do tradycji naszego ruchu robotniczego, i jest to właśnie dla mnie, nie tylko dla mnie, sprawa bardzo ważna. Tak go często — ten nasz ruch robotniczy, te jego tradycje — poklepywano z góry! Ja myślę, że sprawa przypomnienia tradycji ruchu robotniczego może bardziej przysłużyć się współczesności, niż koniunkturalne rzucenie się teraz na temat „współczesny” w tym względzie.

Mirosław Derecki: — Temat współczesny... Rozmowa nasza toczy się w dniu zakończenia 7 Festiwalu Polskich Filmów Fabelarnych, w Gdańsku. Wczoraj, a właściwie już dzisiaj, podczas nadprogramowej, nocnej projekcji, obejrzelismy materiały wyjściowe filmu dokumentalnego kręconego w ostatnich dniach sierpnia w Stoczni Gdańskiej w czasie strajku przez ekipę Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Nawet mignął w czołówce tytuł piospiewki wyrysowany: „Robotnicy 80”. Jak pan odebrał ten właśnie „temat współczesny”?

Kazimierz Kutz: — To, co mnie szczególnie ujęło, co najbardziej przeżyłem, to fakt, że udało się zapisać kamerom filmowym całkowitą „normalność”, „oczywistość” wreszcie — „zwyczajność” tego wszystkiego, co się w owych dniach w Stoczni Gdańskiej, wśród wielu tysięcy robotników — działo.

Mirosław Derecki: — Chciałbym zapytać pana o jeszcze jedną sprawę: jak pan dzisiaj, już z pewnej perspektywy czasu i także z perspektywy dziejących się w Polsce wydarzeń, ocenia zjawisko, które wzbudziło w środowisku filmowym, i nie tylko filmowym, tyle dyskusji: myślę o tzw. „kinie moralnego niepokoju”.

Kazimierz Kutz: — Opowiadam się za jego słusznością. Ale też uważam, że jest to zjawisko, które już się skończyło. Dodam dla wyjaśnienia: opowiadał się za „kinem moralnego niepokoju” nie — jako za zjawiskiem artystycznym, lecz zjawiskiem środowiskowym. Tradycja kina społecznego a takim wszak jest „kino moralnego niepokoju”, to przecież rzecz, która łączy całe nasze powojenne pokolenie filmowe. Ogromną zasługą Kieślowskiego, Kijowskiego, Falka, Agnieszki Holland i ich kolegów jest fakt, że grupa tych młodych ludzi miała siłę i odwagę podjąć ważki temat społeczny. Natomiast ich filmy, prawie wszystkie, mają tę samą wadę — i to jest konsekwencja patrzenia publicystycznego — cechuje je niedowład formy. Oni teraz, jako ludzie zdolni, będą szukali różnic między sobą. Będą szukali własnego spojrzenia. Moim zdaniem, „kino moralnego niepokoju” jest już dla nich przeszłością, ale przeszłością, która teraz właśnie zacznie wydawać dojrzale owoce: umiejętnego, głębokiego spojrzenia na współczesność dzielącą się wokół nas, spojrzenia pomnożonego poprzez własne doświadczenie życiowe i własną indywidualność artystyczną.

Mirosław Derecki: — A co jest, co będzie dla tego pokolenia najważniejszą miarą wolności?

Kazimierz Kutz: — O to niech pan pyta każdego z nich,



Rys. Z. S. Pytlík

12 MARCA 1938 roku hitlerowski Niemcy dokonały zbrojnego „Anschlusu” — przyłączenia Austrii do III Rzeszy. Wydarzenie to było najgroźniejsze dla sąsiedniej Czechosłowacji, gdyż istnienie suwerennego państwa rakuskiego gwarantowało jej osłonę skrzydła i tyłów w ewentualnym konflikcie z Niemcami. Natomiast wchłonięcie Austrii przez Rzeszę prowadziło do otoczenia całych Czech już w sytuacji wyjściowej. Dlatego też Hitler i jego generałowie spodziewali się nawet, że Czechosłowacja może interweniować zbrojnie w obronie południowego sąsiada, zaś armia czechosłowacka była poważnym czynnikiem militarnym. Uwzględniając to, niemiecki minister wojny marszałek Bromberg, w instrukcji z 27 czerwca 1937 roku, wyjaśniając istotę „Sonderfall Otto” — planu aneksji Austrii oraz „Fall Grün” — planu ataku na Czechosłowację, pisał:

„Wypadek szczególny Otto” i „Akcja zielona” nie są przewidziane jako działania równoczesne. Gdyby z okoliczności politycznych wynikało, że oba wypadki są aktualne, należy odsunąć „Wypadek szczególny Otto” do zakończenia „Akcji zielonej”. Trzeba liczyć się z tym, że z „Wypadku szczególnego Otto” może wynikać „Akcja zielona”. Fakt ten należy uwzględnić w rozważaniach”.

5 listopada t.r. w Kancelarii Rzeszy Hitler odbył zasadniczą naradę ze swymi najwyższymi dowódcami rodzajów wojsk. Na tej właśnie naradzie kanclerz Rzeszy określił Austrię i Czechosłowację jako najbliższe cele niemieckiej ekspansji, co uzasadnił koniecznością wyeliminowania zagrożenia na tyłach, w wypadku niemieckiego marszu na zachód. Stwierdził też, że Polska przeciw Niemcom nie wystąpi, jeśli uderzenie na Austrię i Czechosłowację zostanie przeprowadzone dostatecznie szybko, należy więc działać błyskawicznie.

W tym czasie jeszcze nie było wiadomości, że między Niemcami a Czechosłowacją miało dojść do konfliktu. O ile Austrię Hitler otwarcie traktował jako obszar niemiecki, to wobec Czechosłowacji nie wysuwał żadnych pretensji, a nawet starannie jej ukrywał. Tym większe było jego zaskoczenie, kiedy 19 listopada złożył mu wizytę brytyjski wiceminister Halifax, który m. in. oświadczył:

„Wszystkie pozostałe zagadnienia można określić w tym sensie, że dotyczą one zmian porządku europejskiego, które wcześniej czy później nastąpią. Do tych zagadnień należą: Gdańsk i Austria oraz Czechosłowacja. Anglia zainteresowana jest wyłącznie w tym, aby zmiany te dokonane zostały w drodze pokojowej ewolucji...”

Było to ni mniej, ni więcej, tylko brytyjskie błogosławieństwo dla zdecydowanych już planów hitlerowskich agresji, nawet tych, o których „führer” niemiecki nie jeszcze nie mówił.

Przychylny postawie rządu polskiego dla realizacji swych planów Hitler był prawie pewien. Jeszcze 1 października 1937 r. polski minister Beck, bawiąc przejazdem w Wiedniu, przeprowadził rozmowę ze swym austriackim kolegą Schmidtem. Ministrowie m. in. poruszyli sprawę położenia Austrii i jej zagrożenia przez hitlerowskie Niemcy. Z jakimś potwornym brakiem taktu i politycznego zmysłu Beck radził swemu rozmówcy:

„aby Austria oddała się molo-chowi niemieckiemu, zapewniając tym Europie pokój przynajmniej na dwadzieścia lat”.

W dniach 13 i 14 stycznia 1938 r. Beck prowadził rozmowy polityczne w Berlinie. Niemcy, pewni już anektowania Austrii i Czechosłowacji, żywo interesowali się stosunkami Polski do obu tych krajów. Polski minister odpowiadał tak, jakby się starał dogodzić swym rozmówcom. Wobec ministra Neuratha stwierdził, że „stosunki Polski z Czechosłowacją są złe i nie można się spodziewać ich poprawy, zaś w Austrii Polacy nie mają żadnych zainteresowań politycznych. Podobnie odpowiadał Goeringowi, który był

wobec Becka wylewnie szczery. Bez ogródek ujawnił zamiar inkorporacji Austrii oraz oznajmił, że:

„... uważa istnienie państwa czeskiego w formie dotychczasowej za niemożliwe”.

Beck znów powtórzył, że „w Austrii Polska posiada jedynie interesy gospodarcze”, które Goering przyrzekł respektować. I pomysł, że tak rozumował i mówił polski polityk i wojskowy, którego funkcje często zmuszały do spoglądania na mapę Europy! Zaś mapa ta jasno i wyraźnie wskazywała, że wysunięta reduta ubezpieczająca Polskę jest Czechosłowacją, a reduta Czechosłowacji — Austria. Osłabienie jednej reduty automatycznie osłabiało drugą, a ta druga strzegła już bezpośrednio kierunku Polski.

Upewniwszy się co do stanu bezpieczeństwa na zachodzie i na wschodzie Hitler postanowił przyspieszyć bieg wydarzeń. Na miejsce ministra Neuratha powołał Ribbentropa, zaś w armii oddał władzę

„akcja niemiecka w Austrii nie jest skierowana przeciw Czechosłowacji, która może zachować spokój”.

Następnego dnia, w imieniu Austriackiego Amta, podobnie w treści oświadczenie złożył Małsiemu baron Neurath. To pułapostwo nie mogło zatrzeć prawdy, że austriacka reduta demokracji padła, zaś Czechosłowacja została dokładnie otoczona przez Niemcy oraz ich nieformalnych, ale faktycznych sprzymierzeńców — Polskę i Węgry. Zachód zdobył się jedynie na papierowe protesty. Hitler oczywiście odrzucił je bez ceremonii i cały efekt wydarzenia sprowadził się do ustąpienia rządu Chautempsa i przywrócenia do władzy Bluma, jako premiera Francji.

W połowie marca rząd polski rozpuścił hecę z Litwą, co znów skompromitowało go w Europie. O francuskich reperkusjach polskiej polityki, w meldunku z 25 marca pisał do szefa Sztabu Głównego pol-

skich. Zgodził się też z żądaniem wycofania czechosłowackiej polskiej z obszaru skupisk niemieckich i złagodzenia ustawy o ochronie państwa, która ograniczała zatrudnianie Niemców w zakładach przemysłu wojennego.

Ugodowość Hodży była dla Niemców jedynie zachętą do prowokowania Czechosłowacji. W dwa dni później wszyscy reprezentanci niemieccy w czechosłowackim parlamencie opuścili rządową koalicję, a ministrowie — Niemcy ustąpili z gabinetu Hodży. W parlamencie powstała sytuacja niezwykła — partia narodowej mniejszości posiadała więcej mandatów, niż największa czeska partia agraryjska. Powstały wszelkie warunki do rozpadnięcia Czechosłowacji od wewnątrz, tym bardziej, że Słowacy pozostawali pod wpływami autonomicznymi, lub wręcz separatystycznymi hasłami, energicznie popieranymi przez Niemcy i Polskę.

26 marca, za inspiracją Warszawy i przykładem SDP wszystkie organizacje polskie utworzyły Związek Polaków w Czechosłowacji. Jego celem było zespolenie sił Polaków w akcji antyczeskiej. W dwa dni później Henlein i jego zastępca Frank zostali przyjęci przez Hitlera. Tym razem „führer” zapowiedział, że „zamierza problem Czechosłowacji rozwiązać w niezbyt odległym terminie”. Henleinowi polecił, aby na zbliżającym się kongresie SDP postawił rządowi czechosłowackiemu takie żądania, których Czesi nie będą mogli przyjąć.

Poczynaniom Niemców sudeckich sekundovaly inne mniejszości narodowe, inspirowane przez swe macierzyste kraje. 29 marca, wobec Izby Poselskiej w Pradze, autonomii narodowej zażądali przedstawiciele mniejszości węgierskiej i polskiej.

W Berlinie poseł Małstny próbował dogadać się z Ribbentropem na temat potwierdzenia istniejących układów politycznych czesko-niemieckich. Hitlerowski minister zbył go twierdzeniem, iż Rzesza nie zamierza występować przeciw Czechosłowacji, ale żądania Niemców sudeckich muszą zostać zaspokojone. Wbrew temu kolejnemu kłamstwu Niemcy czynili ostatnie przygotowania do nowej agresji. 21 kwietnia Hitler omówił z gen. Keitlem wytyczne do realizacji planu „Aufmarsch Grün”.

24 kwietnia Henlein zrealizował ostatnią dyrektywę Hitlera otrzymaną w Obersalzberg. Na kongresie SDP w Karlovych Varach wysunął ośmiopunktowy program zawierający warunki ugody Niemców sudeckich z rządem Czechosłowacji. Treść żądań sprowadzała się do słowno do urzędzenia państwa w państwie, przy zastrzeżeniu sobie prawa do zdrady obywatelskich obowiązków, w razie konfliktu Czechosłowacji z Niemcami. Oczywiście takich warunków nie mógł przyjąć żaden rząd, żadnego suwerennego państwa, ale Hitlerowi właśnie o to chodziło.

Jakby na ironię, w dzień opublikowania żądań SDP zabrał głos premier Chamberlain, deklarując, że rząd brytyjski jest gotów udzielić Czechom „dobrych rad”, dla uzyskania porozumienia z mniejszością niemiecką. Rozumiejąc, że Wielka Brytania nie angażuje się w obronę Czechosłowacji, francuski premier Daladier, z ministrem Bonnetem polecieli do Londynu. 28 i 29 kwietnia odbyły się tam rozmowy, w konkluzji których postanowiono jedynie zalecić Pradze stan największą ustepliwość. 7 maja przedstawiciele Francji i W. Brytanii w Pradze złożyli demarche zalecające pokojowe załatwienie sprawy Niemców sudeckich. Równocześnie brytyjski ambasador Henderson uczynił podobny krok w Berlinie.

Tego samego dnia doszła do głosu jeszcze jedna mniejszość narodowa Czechosłowacji. Działający w Użhorodzie nacjonalistyczny Centralny Komitet Ukraiński „Objednieniu” wysunął żądanie autonomii dla Ukraińców we wszystkich zamieszkiwanych przez nich krajach. Żądanie to pomieściło szczył Polsce, która właśnie wystąpiła wobec Pradzy z żądaniem przyznania autonomii Polakom na Zaolziu, sama zaś posiadała kilkumilionową mniejszość ukraińską.

12 maja w Warszawie odbyła się w mieszkaniu Smjglego-Rydyła pufna narada najwyższego areopagu. Oprócz gospodarza, w radzie u-

Z HISTORII NAJNOWSZEJ

SUDETY I ZAOLZIE (II)

Leszek Siemion

generałom bardziej zdecydowanym do rozpoczęcia wojny. Następnie wezwał kanclerza Austrii Schuschnigg do swej rezydencji w Berchtesgaden i poddyktował mu warunki równające się przekreśleniu suwerenności południowego sąsiada.

Rząd austriacki próbował jeszcze szukać pomocy w Czechosłowacji, ale premier czeski Hodža nie chciał, czy też nie mógł niczego obiecać i Austria pozostała osamotniona. Już pewny jej bliskiego wchłonięcia przez Rzeszę, 20 lutego Hitler wygłosił w Reichstagu krzykliwe przemówienie, oświadczając m. in.:

„Niemcy nie mogą być obojętne wobec losu 10 milionów Niemców, którzy żyją w dwóch sąsiednich krajach. Rząd niemiecki będzie dążył do zjednoczenia całego narodu niemieckiego...”

Tym razem powiedział więc nie tylko o 7 milionach Niemców austriackich, ale także o 3 milionach Niemców w Czechosłowacji. Uświadomiwszy sobie ten fakt prezydent Benes zaczął snuć myśli o zmontowaniu antyniemieckiego bloku Praga — Wiedeń — Budapeszt, jego minister Krofta próbował nakłonić do przeciwdziałania Francję, zaś premier Hodža usiłował nawiązać współdziałanie z Schuschniggem. Ale na wszystko było za późno.

Przygotowując decydujące działania na południowej granicy Niemcy nie zapomnieli, że jego wdrożenie będzie możliwe jedynie wtedy, jeśli Polska zachowa co najmniej neutralność. Przy zagrożeniu wschodniej granicy Niemiec przez Polskę akcja przeciw Czechosłowacji w ogóle nie mogłaby dojść do skutku. Dla zapewnienia sobie przychylności rządu polskiego w lutym przyjechał do Warszawy dobrze tu widziany marszałek Goering.

O postanowionym „anschlusie” Austrii hitlerowski dygnitarz mówił otwarcie znów nie napotykając na żadne obiekcje. Grając na czułych strunach Becka oskarżał Czechosłowację o uleganie wpływowi ZSRR, co spotkało się z aprobatą polskiego ministra. Beck był domyślny i stwierdził stanowczo, że w odróżnieniu od problemu Austrii, sprawa Czechosłowacji Polska jest blisko zainteresowana. W szczególności jest dla Polski ważny pewien rejon Czechosłowacji oraz sposób rozstrzygnięcia czeskiego problemu. Z kolei domyślny stał się Goering, mówiąc, że

„... interesy polskie w Morawskiej Ostrawie nie będą naruszone, a Niemcy nie zaskoczą Polski swymi posunięciami”.

Podjętą decydującą rozgrywkę z Austrią Niemcy nie zapomnieli o zabezpieczeniu się także od strony Czechosłowacji. W noc poprzedzającą wkroczenie wojsk hitlerowskich do Austrii marszałek Goering wezwał do siebie czeskiego posła w Berlinie Małstnego i słowem honoru zaręczył mu, że

skłi attache wojskowy w Paryżu pki. Fyda:

„... nasz memoriał w sprawie przyspieszenia realizacji kredytu materiałowego nie dał dotychczas żadnego rezultatu... nastawienie czynników wojskowych, jak i samych przemysłowców staje się dla naszych dostaw coraz mniej przychylnie. stoi przed Francją ciągle jeszcze dylemat, czy dostarczyć Polsce nowoczesnego uzbrojenia za francuskie pieniądze? Powiedział mi z początkiem marca br. ppłk Petibon ze sztabu gen. Gamelin, że Francuzi muszą się liczyć z tym, aby działa dostarczone przez Francję nie zwróciły się przeciwko ich sprzymierzeńcom Czechom...”

Przy wzroście napięcia politycznego z powodu Austrii i Litwy radziecki minister spraw zagranicznych Litwinow wystąpił do Londynu z propozycją zwołania międzynarodowej konferencji w celu obrony pokoju i zapobieżenia agresji grożącej z kolei Czechosłowacji. Pisemna propozycja kończyła się mądrym ostrzeżeniem:

Jeszcze nie zakończyła się na dobre sprawa „anschlusu”, a już Hitler rozpoczął decydujące działania przeciw Czechosłowacji. Na razie jego zamiarem było rozsadzenie państwa czechosłowackiego od wewnątrz. Dysponował do tego świetnym narzędziem w postaci przeszło trzech milionów Niemców sudeckich, prawie bez reszty opornych przez przybudówkę hitlerowskiej NSDAP — Sudecką Partię Narodowo-Socjalistyczną (SDP), kierowaną przez b. nauczyciela gimnastyki Konrada Henleina. 13 marca kanclerz Rzeszy wydał odezwę do Niemców w Czechosłowacji, wzywając ich do zespolenia sił „w walce o prawo do życia i honor Niemców sudeckich”. Na ten zew dwie pozostałe partie niemieckie w Czechosłowacji podporządkowały się henleinowskiej SDP.

Apel ten pozostał niestety bez echa, poza odmowną odpowiedzią udzieloną 24 marca przez rząd brytyjski.

Jeszcze nie zakończyła się na dobre sprawa „anschlusu”, a już Hitler rozpoczął decydujące działania przeciw Czechosłowacji. Na razie jego zamiarem było rozsadzenie państwa czechosłowackiego od wewnątrz. Dysponował do tego świetnym narzędziem w postaci przeszło trzech milionów Niemców sudeckich, prawie bez reszty opornych przez przybudówkę hitlerowskiej NSDAP — Sudecką Partię Narodowo-Socjalistyczną (SDP), kierowaną przez b. nauczyciela gimnastyki Konrada Henleina. 13 marca kanclerz Rzeszy wydał odezwę do Niemców w Czechosłowacji, wzywając ich do zespolenia sił „w walce o prawo do życia i honor Niemców sudeckich”. Na ten zew dwie pozostałe partie niemieckie w Czechosłowacji podporządkowały się henleinowskiej SDP.

Sekundując Hitlerowi odezwał się publicznie minister Beck. W wywiadzie dla „dziennika angielskiego” stwierdził on, że „Polacy na Zaolziu będą musieli otrzymać uprawnienia identyczne jak Niemcy sudeccy”. W ślad za „enuncjacja Becka władze polskie przystąpiły do organizowania Polaków zaolziańskich przeciw Czechosłowacji. Oddział II Sztabu Głównego otrzymał zadanie przygotowania na Zaolziu zbrojnej dywersji.

23 marca premier Hodža odbył rozmowę z posem Rzeszy Eisenlohem, zgłaszając mu gotowość ustąpić na rzecz Niemców sudec-

W OBIEKTYWIE WALDEMARA STĘPNIA

czestniczyli: prezydent Mościcki, minister Beck oraz ambasadorzy z Berlina, Paryża i Pragi — Lipski, Łukasiewicz i Papec. Wobec zdecydowanie proniemieckiej postawy Becka i Lipskiego wyniknęły poważne obiekcje. Ostatecznie jednak zdecydował argument Lipskiego.

„...że sytuacja Polski wobec Niemiec znacznie by się pogorszyła, gdyby Polska wobec Czech zajęła pozytywne stanowisko”.

Tegoż dnia w Genewie odbywała się sesja Ligi Narodów. Gotowość udzielenia pomocy zagrożonej Czechosłowacji przejawiał jedynie Związek Radziecki. Obecny na sesji minister Litwinow spotkał się z ministrem Bonnetem i zapewnił, że ZSRR na pewno udzieli żądanej pomocy, o ile uczyni to Francja. Żądał tylko wywarcia nacisku na Warszawę i Bukareszt, aby tamtejsze rządy zgodziły się przepuścić wojska radzieckie przez swe terytoria.

Tymczasem Polska żywo działała przeciwko realizacji tej koncepcji. Jej przedstawiciel nagabywał rząd rumuński, by sprzeciwił się radziecko-francuskiej propozycji, strasząc go konsekwencjami takiego kroku. To samo Polacy powtórzyli w Warszawie przybyłemu z wizytą szefowi rumuńskiego Sztabu Generalnego gen. Ionescu.

O swych poczynaniach rząd polski systematycznie informował niemieckiego ambasadora Moltkego, ale Berlin nie był jeszcze z Polski zadowolony. Sugestie niemieckie, aby Polska zmobilizowała wojska w okęgach korpusów graniczących z Czechosłowacją pozostały bez echa i hitlerowskie kierownictwo ciągle jeszcze nie było pewne Polski jako swego sojusznika.

13 maja ambasador Henderson podjął w Berlinie drugie demarche w sprawie Czechosłowacji, zaś następnego dnia posłowie zachodni uczynili to samo w Pradze. Francja i W. Brytania znalazły „modus vivendi” rządząc Czechosłowacji, aby wprowadziła ustrój federacyjny, dając pełną autonomię sudeckim Niemcom i Słowacji. Oczywiście, takie rozwiązanie musiało prowadzić do rozpadu czeskosłowackiego państwa, gdyż „autonomiczne” żądania Niemców już głośno wyrażały chęć przyłączenia się do Rzeszy.

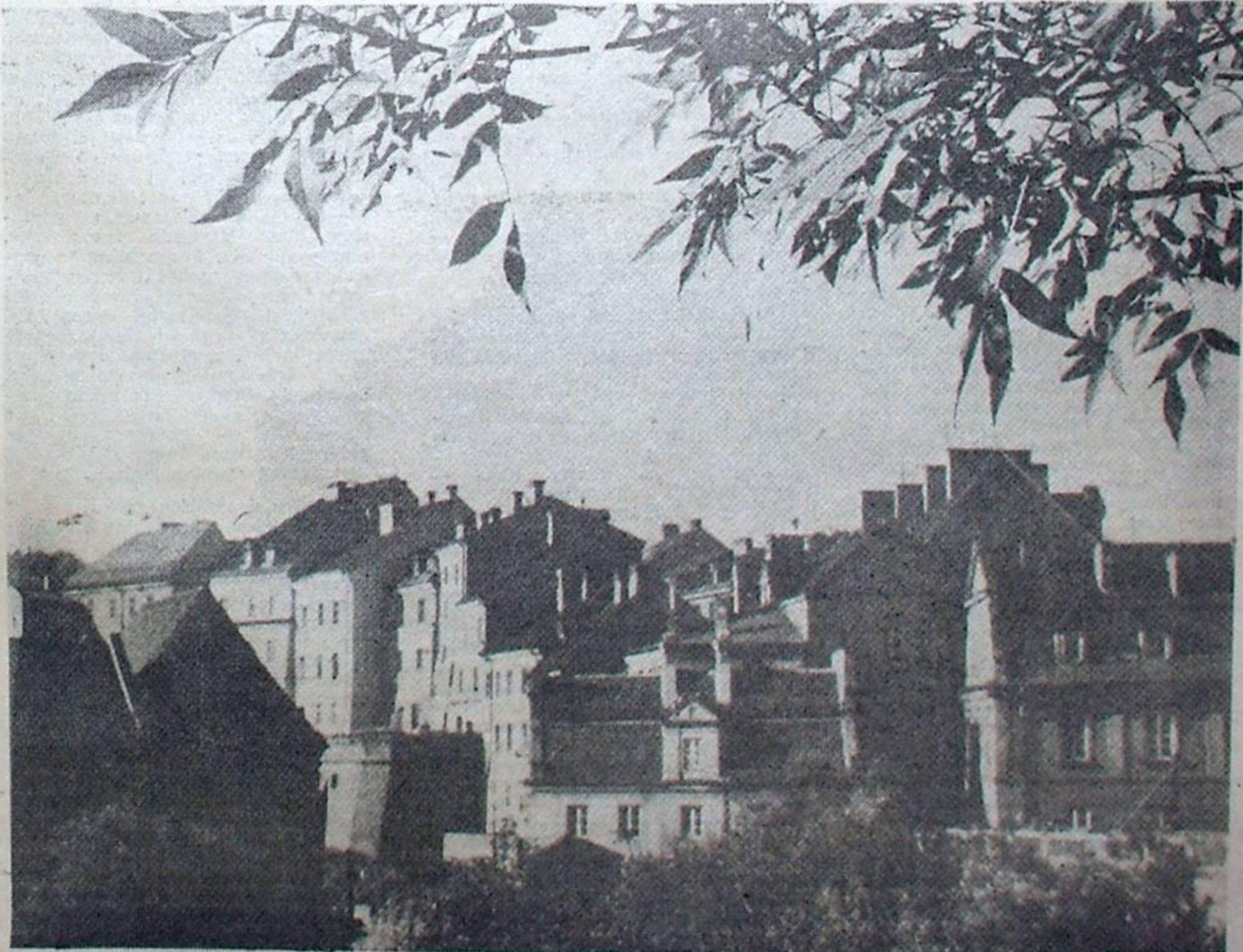
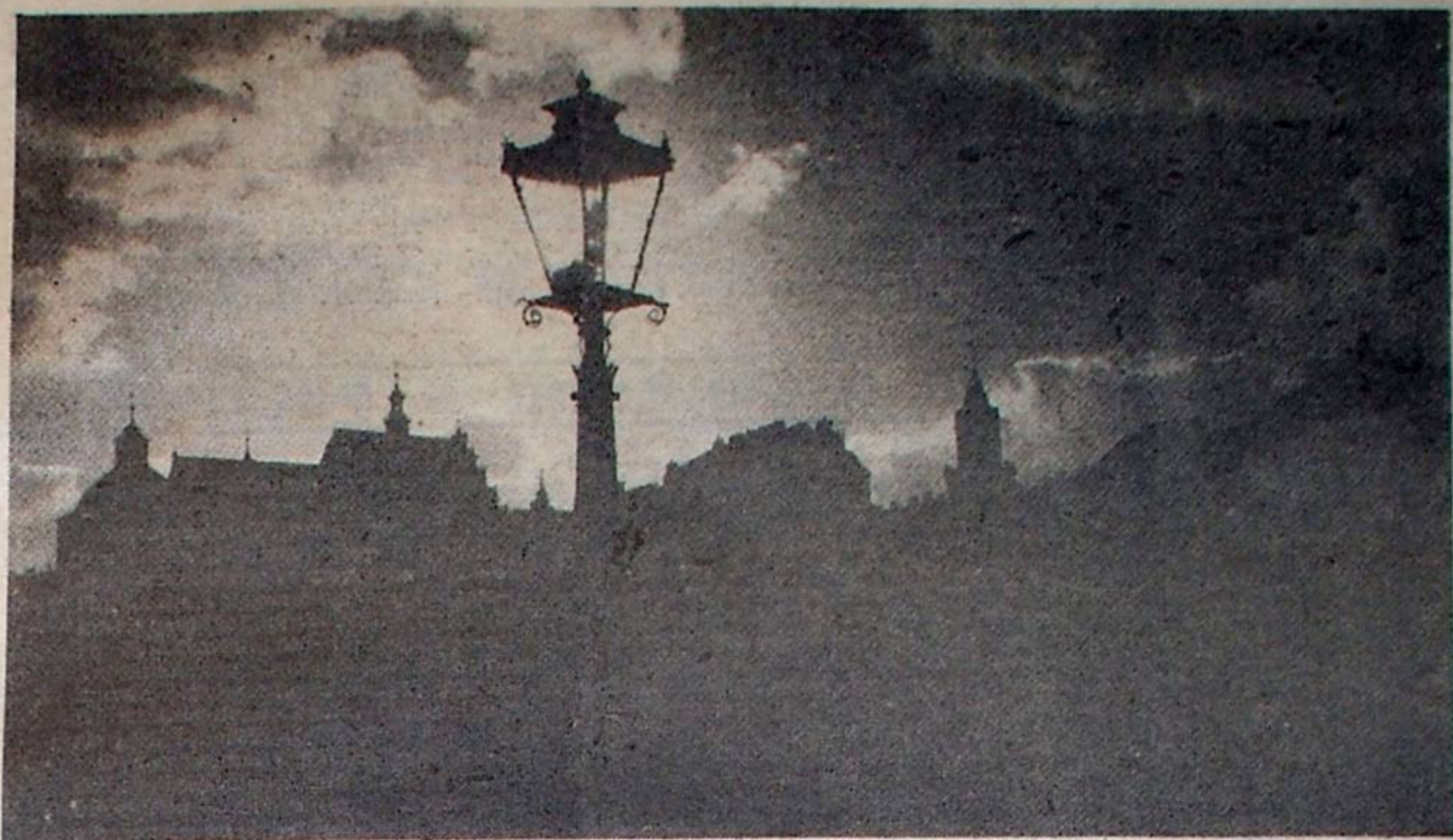
Mniejszość niemiecka szykowała się do walnej rozgrywki z Czechosłowacją przy okazji wyborów do samorządów, których pierwszą turę wyznaczono na 22 maja. Przygotowaniom tym sekundował Berlin, kierując szeregi jednostek wojskowych ku granicy czeskosłowackiej. Ich ruchy nie uszły uwagi Czechów, którzy bez względu na „dobre rady” Zachodu, 20 maja powołali pod broń dwa roczniki rezerwistów. Z niesłychaną sprawnością, w ciągu jednej nocy wojska czeskie obsadziły linie granicznych fortyfikacji, przygotowując się do odparcia niemieckiej napaści. Na wszelki wypadek obsadzone zostały również umocnienia na granicy z Polską. W związku z tym minister Beck przesłał do Pragi protest rządu polskiego.

W Pradze powiał świeży wiatr, budząc entuzjazm społeczeństwa. W stolicy Czechosłowacji zniknęły kapitulacyjne nastroje, powszechnie mówiono o konieczności walki. Na domiar, 21 maja W. Brytania dokonała w Berlinie nowego demarche, żądając wyjaśnienia ruchów wojsk niemieckich w kierunku Czechosłowacji. Rodziny brytyjskich dyplomatów przypadkowo wyjechały na urlopy z Berlina do Anglii, co zrobiło wrażenie przygotowania do zerwania brytyjsko-niemieckich stosunków dyplomatycznych. Zdeprymowany tymi objawami Hitler poczuł się zmuszony powściągnąć swą agresywną inicjatywę. Kierowani z Berlina przywódcy Niemców sudeckich już 21 maja przybyli do premiera Hodży z propozycją dalszych dobrowolnych pertraktacji.

Agresja Czechosłowacji została odroczone, ale nie przekreślona. Rozżalony przymusowym odwrotem Hitler oświadczył niedwuznacznie: „Jest moim nieodwracalnym postanowieniem, by w niedalekiej przyszłości zniszczyć Czechosłowację akcją wojskową”.

Równocześnie niemiecki Sztab Generalny wziął na warsztat zadanie powalenia Czechosłowacji jednym uderzeniem, w ciągu czterech dni.

(C.d.n.)



UFO - nowa supertajna broń?!

TAK zwana „plaga UFO” rozpoczęła swój triumfalny pochód przez świat właściwie dopiero po zakończeniu II wojny światowej, kiedy to na skutek znacznego rozprzestrzenienia się środków przenoszenia informacji na dystansie transkontynentalne wiadomości o obserwacjach dziwnych, niepodobnych do czegokolwiek znanego statków latających zaczęły napływać ze wszystkich zakątków globu.

Każdy wszakże, kto zetknął się bliżej z tym problemem, wie chyba doskonale, iż przynajmniej 90 proc. tego rodzaju spostrzeżeń wynika z mylnej interpretacji mniej lub bardziej banalnych, sztucznych albo naturalnych przedmiotów poruszających się w atmosferze, których naturę i pochodzenie można wyjaśnić w oparciu o aktualnie posiadaną przez ludzi wiedzę.

Natomiast w grupie pozostałych około 10 proc. identyfikuje się niekiedy sztucznie wykonane i posiadające własne źródło napędu, niepodobne do jakichkolwiek aparatów latających sporządzonych dotąd przez człowieka statki latające, znanymi m. in. tym, że: poruszają się one w atmosferze w oparciu o nieznaną dotąd zasadę fizyczną; wykonywanych przez nie manewrów nie jest w stanie powtórzyć jakikolwiek aparat latający, wykonany przez ludzką cywilizację; wytwarzają coś, co daje identyczne efekty, jakie wykazuje oddziaływanie silnych pól magnetycznych na niektóre substancje; większość z nich porusza się w powietrzu bezdźwięcznie; niektóre z takich stat-

ków latających służą niewątpliwie jako środki transportu, gdyż niejednokrotnie obserwowano opuszczające je człokopodobne twory, których zachowanie przypomina zachowanie się istot rozumnych, czy też rozumnie sterowanych aparatów kroczących, nieznanego konstrukcji i przeznaczenia.

W artykule Edwarda Maruszaka „Anty-UFO”, publikowanym w „Kamieniu” nr 19, UFO jawią się jako najpierw niemieckie, a później brytyj-

Obserwacja ta z roku 332 p.n.e., z czasów panowania Aleksandra Macedońskiego. To właśnie jego wojska oblegały wówczas Tyr (obecnie miasto Sur w Libanie), i jego żołnierze byli bezpośrednimi świadkami tej sytuacji.

Nie tylko oni zresztą; podobne aparaty latające obserwowali kilka tysięcy lat temu Grecy (oni pierwsi nazwali je „latającymi dyskami”), Rzymianie i Egipcjanie. Wspominają o

— ATIC). Natomiast od sierpnia 1947 roku przejął od Wydziału Wojskowego USA wszelkie prace nad tym zagadnieniem, opatrując je kryptonimem „PROJECT SIGN”. Wydział Technologii Obcych, z siedzibą w bazie lotniczej w Dayton. Druga faza badań UFO w USA, nosząca tym razem nazwę „Project grude” i trwająca od 1949 do 1951 roku — również nie wyjaśniła natury tych obiektów.

Latem 1951 roku pod nadzorem Amerykańskich Sił Powietrznych rozpoczęła się — zakrojona na szerszą niż dotychczas skalę — kolejna próba identyfikacji UFO, opatrzona kryptonimem „Project blue book”. Badania te ciągnęły się aż do 1968 roku, nie dając wszakże żadnych rewelacyjnych wniosków poza stwierdzeniem, że „UFO” nie stanowią zagrożenia dla bezpieczeństwa USA.

Oprócz tego w USA prowadziły i prowadzą nadal badania UFO różnorakie instytucje cywilne.

Powstaje przeto pytanie: czy Waszyngton przez tak długi okres i tak wielkim nakładem sił i środków prowadziłby intensywne badania obiektów, których natura i pochodzenie nie byłyby dla niego jakkolwiek tajemnicą? W odpowiedzi na to pytanie należałoby albo kwestionować poczytalność wojskowych USA, którzy przez tak długi okres nie bardzo chyba wiedzieli, co robią, albo też uznać za problematyczną rzetelność informacji przedstawionych w artykule E. Maruszaka.

Witold Wawrzonek

● POLEMIKI ● POLEMIKI ●

skie aparaty lotnicze o unikalnej konstrukcji i napędzie.

Trudno aktualnie udzielić bardziej precyzyjnej odpowiedzi na pytanie: czym UFO właściwie są? Wiadomo natomiast już na pewno, że te ekscentrycznie wyglądające, o nieaerodynamicznych kształtach statki latające nie mogą w żadnym przypadku być wytwarzane przez ludzką cywilizację.

W czasie oblężenia Tyru kilka tysięcy żołnierzy dostrzegło niespodziewanie na tle nieba pięć świecących tarcz lecących w szyku trójkąta. Dziwne obiekty, we wszystkich szczegółach podobne do „współczesnych UFO”, obniżyły pulap lotu i na oczach zdumionych ludzi zaczęły krążyć nad obleganym miastem, „plując” od czasu do czasu strumieniami ognia. Lataty bezdźwięcznie, a po kilku minutach znikły z pola widzenia wznosząc się pionowo w górę.

nich również stare księgi tybetańskie i sanskryckie eposy.

Zastanawiającym jednak musi wydawać się to, że nie na ten temat nie pisali starożytni Germanowie, ni Brytyjczycy. Ciekawe dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie staje się prosta i jasna dopiero po zapoznaniu się z treścią artykułu pt. „Anty-UFO”; najpewniej już w tamtym okresie czasu ściśle utajniali oni wszelkie, dotyczące tych obiektów, informacje... Autor wspomnianego artykułu z bizantyjską powagą twierdzi nadto, że UFO pochodzą z obszaru znajdującego się w odległości kilkuset kilometrów od granicy Stanów Zjednoczonych i Waszyngtonu dobrze o tym wie...

Zaraz po zakończeniu II wojny światowej rozpoznaniem natury UFO zajęło zajmować się w USA Centrum Lotniczego Wywiadu Wojskowego (Aerial Technical Intelligence Center

KSIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI ● KSIAŻKI

Z polskiej estetyki

POLSKA myśl estetyczna dwudziestolecia międzywojennego wniosła wielki wkład w rozwój fundamentalnej dla estetyki współczesnej teorii przeżyć i wartości estetycznych. Próbę problemowego usystematyzowania tego dziedzictwa podjął Bohdan Dziemidok w niedawno wydanej książce noszącej tytuł *Teoria przeżyć i wartości estetycznych w polskiej estetyce dwudziestolecia międzywojennego*. Przedmiotem systematycznych rozważań objął autor koncepcje najwybitniejszych przedstawicieli filozoficznego nurtu estetyki okresu międzywojennego (Henryk Elzenberg, Roman Ingarden, Stanisław Ossowski, Władysław Tatarkiewicz, Mieczysław Wallis), uwzględniając też ówczesną myśl filozoficzną, psychologiczną, teoretyczno-literacką. Autor przyjął w swojej pracy konstrukcję *problemowo-typologiczną*, czyniąc właściwym przedmiotem opisu nie poszczególne koncepcje każdego z osobna estetyka, lecz teorię jakby zbiorowo wypracowaną przez ówczesnych myślicieli w całej jej złożoności i konfliktowości. Taki układ „pozwała wyeksponować nie historycznie przemijające tezy, ale aktualnie doniosłe zagadnienia i uniknąć powtarzania tych samych pytań wobec kolejnych autorów”, umożliwia także włączenie w ramy teorii ogólnej szczegółowych nawet przemyśleń powstałych na peryferiach estetyki.

Suma poglądów, składających się na ogólną teorię przeżyć i wartości estetycznych, uporządkowana została w ramach przejrzystego modelu, którego elementami składowymi są problemy i pojęcia żywe w estetyce danego okresu. Model ów jest tylko pozornie schematyczny; nabiera on bowiem dynamiki wewnętrznej poprzez systematyczną konfrontację myśli estetycznej, tak przecież zróżnicowanej w swoich założeniach i wynikach badawczych.

Myśl ta przedstawiona została na ogół w pojemnych ramach tradycyjnych stanowisk estetycznych. Np. ponawiane w wielu estetykach pytanie: czy percepcja estetyczna jest przeżyciem kontemplacyjnym? znajduje odpowiedź w trzech grupach stanowisk — kontemplacjonizm, aktywizm, pluralizm. W kwestii teorii wartości mamy do czynienia z subiektywizmem, obiektywizmem, relatywizmem. Dalej, odpowiedź na pytanie: czy wartości i oceny estetyczne mają charakter bezwzględny czy względny? sformułowana jest na gruncie relatywizmu, absolutyzmu i pluralizmu. W sumie mamy ukazane osłabienie myśli poszczególnych badaczy wokół generalnych problemów estetyki, co pozwala na określenie ich orientacji twórczych, ale także indywidualnego wkładu (niezależnie od drobnych korekt) w myśl zbiorową estetyków dwudziestolecia międzywojennego.

Autor książki zreferował również ważniejsze ówczesne dyskusje dotyczące np. sposobów rozumienia przedmiotów estetycznych, „postawy estetycznej”, a zwłaszcza spory wokół jej tzw. bezinteresowności. W ten sposób systematyczny opis — poprzez rozpisanie problemu na polemiczne głosy — nabrał cech dynamicznych, ożywiających lekturę.

Myśl estetyczna dwudziestolecia międzywojennego nie stanowi hermetycznego, ahistorycznego systemu, przeciwnie, rozwijała się ona w ramach kontynuacji tradycyjnych zagadnień estetyczno-filozoficznych; wniosła jednak oryginalny wkład do estetyki światowej. Charakteryzuje ją — co podkreśla Bohdan Dziemidok w zakończeniu — to, że wszyscy jej reprezentanci formułowali swoje koncepcje na podbudowie dorobku tzw. szkoły lwowsko-warszawskiej. Wspólnym rysem ówczesnej myśli estetycznej była też „dążność do precyzji językowej, skłonność do analiz semantycznych i wysoka kultura logiczna”. Według autora książki „maestria analityczna i wysoka kultura logiczna zadecydowały w znacznej mierze o tym, że dorobek

polskiej estetyki dwudziestolecia w teorii wartości i przeżyć estetycznych dotąd nie utracił aktualności”.

Czy prezentowana przez Bohdana Dziemidoka teoria jest konstrukcją obiektywną i spójną? Tak i to w wysokim stopniu; wydaje się, że możemy tu mówić o założonej z góry konsekwencji badawczej i nawet pedanteryjnym stosunku autora do przedmiotu opisu. Stara się on unikać wartościowania poszczególnych koncepcji, nie „przyznaje się” specjalnie do swoich upodobań, przyjmuje rolę jakby kompromisowego pluralisty — skłonny raczej do konstatacji i intelektualnego rozważenia niż ostrej polemiki. Metodologiczna konsekwencja książki polega m. in. na bardzo wyraźnym określeniu zakresu i form aktywności interpretatora wobec badanego materiału w postaci postawienia i ustrukturywania problemów, obiektywnego referowania poglądów, konfrontowania ich z sobą, podsumowania. Przypomina ta praca w swojej suchej i konsekwentnej funkcjonalności *Historię filozofii* Tatarkiewicza. Samo zaś „estetyczne” nastawienie do przedmiotu badań, upatrywanie wartości w każdym autentycznym wysiłku twórczym dającym tak różne przebiegi wyników, w perfekcjonizmie myślowym — świadczy o tym chłodzie i pasji, które znamionują wytrawnego profesjonalistę.

Książka powstała jako wynik wieloletnich badań jej autora, kierującego od lat lubelskim środowiskiem estetyków. Ze względu na wyczerpujące usystematyzowanie i sprobematyzowanie zasadniczych stanowisk i dyskusji w teorii przeżyć i wartości estetycznych w estetyce dwudziestolecia lektura ta ma walory dydaktyczne, niemal podręcznikowe. Przeznaczona jest jednak raczej dla kręgu osób interesujących się głębiej estetyką; stanowi rodzaj kompetentnej syntezy, po którą sięgnąć może także filozof, psycholog i polonista.

Krzysztof Stępnik

Bohdan Dziemidok: *Teoria przeżyć i wartości estetycznych w polskiej estetyce dwudziestolecia międzywojennego*, PWN, Warszawa 1989, s. 352.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 57 LATY

Jedno z pism warszawskich mylnie informuje swoich czytelników, że w Lublinie znajduje się tylko jedna księgarnia, ponieważ druga została zamknięta. Wiadomość tę prosimy sprostować w ten sposób, że od paru lat istnieją u nas 3 księgarnie: pp. Arcta, Księgarnia i Cederbauma, które zupełnie dostatecznie potrzeby tutejszych mieszkańców zaspokajają. Rzeczywiście przed trzema laty jedna księgarnia chwilowo była zamknięta z powodu śmierci właściciela, ale nowonabywca znacznie ją rozszerzył i prowadzi nadal w tym kierunku, w jakim uprzednio była prowadzona.

Dziwne wybryki przyrody obserwujemy w tym roku. Donosiliśmy już o powrotnym kwitnieniu akacji i wian, a także o powrotnym owocach malin, teraz znowu w lesie lopiennickim zerwana gałązka poziomka z doskonałe dojrzałymi jagodami.

Naprawa zegara wieżowego, od kilku dni już trwająca, dotkliwie odczuwać się daje mniej zamożnym mieszkańcom. Własnych zegarów nie posiadającym, a przywykłym stosować się w zajęciach swoich do wieżowego czasomierza. Miejmy przynajmniej tę pociechę, że skoro oczyszczony i wyreperowany zostanie, znowu już czas długi ze znaną akuracją służyc nam będzie.

PRZED 59 LATY

Fatalna omyłka. Władysław Rudnicki kupił sobie w dniu wczorajszym lekarstwa od kaszlu a jednocześnie środek przeciw nagliotkom. Oba lekarstwa były w podobnych pudełkach. Po przybyciu do domu Rudnicki napił się przez pomyłkę zamiast lekarstwa od kaszlu płynu przeciw nagliotkom. Po pewnym czasie dostał okropnych bólów i gorączki. Wezwano pogotowie ratunkowe, którego lekarz udzielił pierwszej pomocy.

Spiewały jaskółki, że niedobre spółki. Luberdzicz Józef (Kalinowszczyzna) dał Michałowi Koziolowi z Kolonii Kępa pod Wilkolezami 10,000 zł na zakup trzody chlewnej. Koziol pieniądze zabrał, a o kupnie trzody chlewnej nawet nie pomyślał. Po prostu 10,000 zł sobie przywłaszczył. Poszkodowany Luberdzicz zameldował o tym policji.

Wybrała
Hanna Orzechowska

Jak z pewnością zauważyli Czytelnicy, już drugie wydanie „Zródeł” ukazuje się w zmniejszonej o dwie kolumny objętości. Wynika to z konieczności zmniejszenia przez redakcję „Kamery” wszystkich stałych pozycji. Ze swej strony postaramy się, by nie, co jest godne czytelniczego oka, nie zostało w „Zróżkach” pominięte.

WARSZTATY

TEGOROCZNE warsztaty artystyczne nad zalewem koło Janowa Lubelskiego nie były rewelacją. Były tym, czym powinny być: dziesięciodniowym spotkaniem młodych ludzi próbujących czegoś do końca w teatrze, plastyce, literaturze, muzyce, którzy przy okazji zaszli nieco słońca, wody, sportu i piwa „Leżajsk”, którego w Lublinie nie uświadczysz.

W ośrodku szkoleniowo-wypoczynkowym ZSMP, na malowniczym wysepce, przez 24 godziny (wyłączając posiłki) twórczy ferment szukał najdoskonalszych form samorealizacji. Najbardziej widoczna była grupa teatralna, w której brylował reżyser, mistrz wdzięku i gestykulacji Józef Jasielski. Najgłośniejsza była zaświadczenie trenująca grupa muzyczna „Paradox” z Krasnika. Plastyki zdecydowali się na portret, pejzaże i... komercję, próbując handlu sztuką z właścicielem klubu-kawiarni (fe, nieładnie, pięć stów za pejzażyk, kiedy wokół wszystko za darmo!)

Ludzie pióra przypominali trochę piłkarzy — ładowali akumulatory. Choć i w fachu piłkarskim potwierdzili po raz kolejny swoje umiejętności, gromiąc reprezentację reszty warsztatów. Jeden ze świeżo upegowolnionych poetów, zapytany przez swoją nauczycielkę (była również nad zalewem, a jakże): „Co wy tutaj robicie?”, odpowiedział: „Jesteśmy”. I była to odpowiedź wyczerpująca, albowiem poetów i pisarzy bystre oko obserwatora mogło przyłapać w intymnych chwilach kontemplowania rzeczywistości, ścigania abstrakcji i zmywania tego wszystkiego podczas nocnego spaceru po moście. A trzeba przyznać, że takowi obserwatorzy się znaleźli i wyobraźnią przewyższali nawet ludzi pióra.

Twórczy ferment był wszechobecny. A co najważniejsze, jego intensywność i agresywność nikt nie ignorował. Nie zabrakło go podczas nocnych wieczorów gawędziarskich, w których prym wiodł Zbigniew W. Fronczek, co niejedno przeżył, widział i słyszał. Nie zabrakło ich również (fermentu twórczego i Fronczka) na spotkaniu, a raczej podczas rozmowy z kierownikiem Wydziału Pracy Ideowej - Wychowawczej KW PZPR w Lublinie, Janem Zawislakiem. Wykładnikiem temperatury rozmowy był szybko pracujący długopis tow. Zawislaka. A że spotkanie nie było pozbawione rzeczowości i szczerości, oba zjawiska (temperaturę i długopis) oceniono pozytywnie.

Wszyscy uczestnicy byli zgodni co do wyboru doskonałego miejsca na tego rodzaju weekend intelektualno-rekreacyjny. Rozstawano się z nadzieją, że następne warsztaty odbędą się również w Janowie.

Kiedy w deszczowy dzień opuszczałem Janowski zalew, na dworzec autobusowy odwoził mnie usłużny kierowca. Gdy mu wyjaśniłem, że wracam z warsztatów artystycznych, ozwał się mniej więcej tymi słowami: Przed wojną połączenie dobrego mistrza z niezłe zaopatrzoną warsztatem dawało gwarancję sukcesu. Dzisiaj wystarczy mieć warsztat, by czuć się mistrzem. Cóż, czasy się zmieniają i są tym bardziej bezradne, im więcej artystów posiadają.

Zabrakło mi jednak odwagi, by spytać, czy mistrz kierownicy próbował kiedyś sił w artystycznym fachu. Może i lepiej, bo przecież prawdziwa sztuka rodzi się gdzieś w zaciszu duchowego wnętrza.

(mik)

Rozstrzygnięcie konkursu

Organizowany po raz czwarty konkurs literacki „Lubelszczyzna — Młodość — Praca — Twórczość” spotkał się z dużym zainteresowaniem młodych pisarzy. Autorzy nadesłanych tekstów chętnie podejmowali temat zamierzonego przez organizatorów (ZW ZSMP). Jury stwierdziło, że konkurs spełnił swe założenia i należy go w następnych latach kontynuować.

Na konkurs napłynęły 72 prace z dziedziny poezji, prozy, dramatu, tłumaczeń. Szczególnie wysoki był poziom prac poetyckich. Jury w składzie: Zbigniew Włodzimierz Fronczek (przewodniczący), Stefan Aleksandrowicz, Stanisław Żurek i Zbigniew Jakusko (sekretarz) po zapoznaniu się z nadesłanymi pracami postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

— W dziale poezji równorzędne drugie nagrody otrzymali: Paweł Gembał, Jerzy Krzysztof Miślec i Waldemar Żelazny; trzecią nagrodę Jan Henryk Cichosz; wyróżnienie Piotr Szewc.

— W dziale przekładów wyróżnienie otrzymał Paweł Gembał za tłumaczenie poezji Lajosa Pappa.

— W dziale dramatu wyróżnienie przyznano Henrykowi Makarskiemu za dowcip dramatyczny.

— W dziale prozy jury jednogłośnie postanowiło nie przyznać nagród ani wyróżnień.

Lajos Papp

Z OSTATNICH LISTÓW DON KICHOTA

Rozebrano wiatraki.
Przestałem więc z nimi walczyć.
Zdechł Rosynant, biedny;
siedzę i grzeję się na słońcu.
Kiedyś pancierz ochraniał moje ciało.
Zamieniłem go na miękkie szaty.
Moja rycerska szabla drobi dynię,
dla świń — naprawdę, całkiem
otrzeźwiałem; jasnie państwo,
które wczoraj widziało mnie, gdy wędrowałem,
nie może uwierzyć, jak się przemieniłem.
Moje błędne sny jak się zamieniły.
I jeszcze co prawda: jestem w domu.
Umeblowałem wieczory;
uporządkowałem bałagan,
wiem, co jest w każdym kącie.
Lampa świeci między moimi książkami.
Czuwa i ranka czeka z nadzieją.
Zrozumiałem, że muszę umrzeć.



Rys. W. Dras



Rys. W. Dras

II

Zrozumiałem, że muszę umrzeć,
że nie wystarczyło wrócić: do domu,
Drzwi zamknięte. Wariat z kopią,
którym byłem, drząc boi się
prawdziwej rzeczywistości czynów;
ponieważ rozgrywki przentosiły się na ziemię,
z nimi już dalej się nie bawię.
Ziemia pogrzebała ziemię.
Moja dumna pycha obróciła się w proch,
nie po ukazywaniu uśmiechu:
boli starego żołnierza
brak świeżo otrzymanej rany,
kiedy baje i zapewnienia
o swej ułomności, starych bliznach.
Rany, też właściwie dawno nie dostałem.
O czym mógł więc człowiek bajki opowiadać?
Czapka z mosiądzu chroniła mnie od tego,
aby ktokolwiek poważnie mnie traktował.
Jasnie państwa to interesuje?

III

Jasnie państwa interesuje to
moje życie wyrwane z ukrycia?
Urodziłem się i uchowałem.
Tupałem po zimnych kamieniach.
Ziemia dudniła, a ja marzyłem;
tyle zostało z wojny jako
pamiątka. I żołnierze usmoleni.
Armia gówna pod krzakami.
Strach innych! Więcej, niż nie.
Przetrawić tyle, jak żyć.
Ale niepodobna już z tego wszystkiego
pięknie pisać, pięknie mówić!
Potem dorosłem. I to już zastuga
w krąg dziwujących się dzieci.
Mój Boże! jak krótko przebywałem
w objęciach łagodnej miłości.
Maszerować, równo kroczyć,
już wcześniej klaskać jak umialem.
A czasy dzieciństwa to tylko parę obrazów.

IV

A czasy dzieciństwa to tylko parę obrazów;
na naszym podwórku nie było bajkowego zamku.
Mógłbym wyliczyć, czego jeszcze nie było,
nudziło mnie od dawna już jednak wyliczanie.
Tak zostałem rycerzem wyimaginowanego
porządku; fechtowałem zawzięcie.
Kto uderzał, każdy trafiał mnie.
Nie broniłem się tylko gorączkowanie.
Wykrzykiwaliśmy pieśni wojenne
z moim dobrym Sancho, który od tego czasu
był jeszcze ważniejszy, stał się tłuszciejczy.
A rzadko słysząc o tym pieśń.
Chwiałem się w obrazach i słowach
poruszających się w bajkowym lesie.
Wymachiwałem byle jaką bronią;
wierzyłem w siły ślepej wiary.
Dostało po karku me chwójne
bohaterstwo, przetrzepano mu skórę.
Teraz tu jestem, siedzę na słońcu.

V

Teraz tu jestem, siedzę na słońcu,
obok me cały wspomniany kraj.
Między iskrzącymi szklanymi skorupami
promienie zwiłokrotniają blaski.
Pod ich cieniami rośnie zielsko;
drobne, blade robaki żyją,
rozmnazają się, mrowią w pagórkach.
Grzeję się i powoli tęgnam się z tym światem.
O jasnie państwu ledwie słyszę,
wiem cokolwiek ostatnio.
Odnoszę czasem wrażenie, że czas stoi.
Przynajmniej tu — w La Manczy.
Drzewka przycinam, szczeplię róże,
a moja Dulcinea, z Toboszo,
urządza pranie, porządkę, klnąc na mnie.
Czy lepiej milczeć czy przeklinać?
Proszę, znów mnie woła, i... tylko tyle.
Spadnie słowo, połamię skrzydło.
Rozebrano wiatraki.

Przekład: Paweł Gembał

Szanowny Czytelniku, jeśli jesteś tym błogostawionym geniuszem, któremu odbiór i zrozumienie poezji, malarstwa, rzeźby a szczególnie muzyki przychodzi tak łatwo, jak autorowi zwrócić się do Ciebie per Szanowny, bez namysłu i bez ten tekst. Przejdź do swoich codziennych zajęć i wiedz tylko jedno, że autor zazdrości Ci uczynnej duszy, tego dodatkowego zmysłu, który ułatwia Ci i upiększa życie. Jeżeli już Twój wzrok i uszy zajęte są czymś innym, wróć Ci zyciowy sukces. Do zobaczenia. I usłyszenia.

WINDA jest niewielka — nawet bardzo mała jak na dwunastopiętrowy budynek — mniej więcej wielkości dwu trumien, dosyć szczelna; w otwór wentylacyjny z przetrąconą kratką plastikową napchano petów, pogniecionych pudełek po papierosach, jakąś gazetę. Ściany — matowy, jasny orzech — podrapane, z paroma niecenzuralnymi napisami, parę wyznań miłosnych i informacji w stylu „Tu mieszka Kola”. Kabina windy ma swoje rozsuwane drzwi, zamykające się dosyć solidnie, metalową ramkę po wybitym lusterku (dosyć istotne), brudną podłogę i jak wszystkie windy w wieżowcach dużych miast, śmierdzi moczem i kotami. Podróż z parteru na XII — ostatnie — piętro jest więc nieprzyjemna, chyba że widać w prawo sprzątniętą. Jest to jedna z setek windy jak pracują w wieżowcach nowych dzielnic Włocławka. Zagranicznego charakteru windzie nadaje tabliczka fabryczna z instrukcją obsługi w języku litewskim i rosyjskim.

O godzinie 11.10 wieżowiec, szczególnie w górnych swoich partiach, jest spokojnym, wyludnionym sześcianem mieszkalnym. Młodzież w szkole, starsi w pracy, upalny koniec lata wygonił tych, którzy pozostali w domu. Samotność w jeździe na dół zapewniona. Można uniknąć głupich spojrzeń nosem w nos stojących, ścisniętych ludzi w ciasnej kabinie. Pod palcem zapala się czerwona lampka przycisku; winda, gdzieś ze środkowych pięter, rusza z charakterystycznym szumem. Rozsuwają się obite aluminiową listwą brzegi drzwi, w anemicznym świetle kabinowej lampki ukazują się wnętrza windy. Poranny trud szarżaczki w ciągu paru godzin zarósł śmierdzącą codziennością. O naiwności ludzkiej pracy, jakże łatwo cię zbeszczyć niedoskonałością pecherza!

Skrzydła drzwi zsuwają się, czarny klawisz z białą jedyneką naciśnięty, podlega drgnęciu, delikatnie ucieka spod stóp. Plecy ciężko oparte o ścianę, wzrok beznamiętnie po raz kolejny przyczepiony do czarnej tabliczki z białymi literami instrukcji. Na dół, szybciej, nie czuć żadnego przyspieszenia, w skrzyni nie widać ruchu w przestrzeni. Gdzieś na ósmym czy dziewiątym piętrze z korytarza wdziera się muzyka organowa, to chyba Bach. Ale kabina już w dół, dalej, choć muzyka nie cichnie, widocznie ktoś pogłosił stereofoniczną aparaturę. Piękny dźwięk, basowy, monumentalny... Szarpnięcie kabiny, gwałtowne, jedno, drugie, podłoga zatrzymuje się, jakby nawet cofa w górę o kilkanaście centymetrów. Cholera. Czarny przycisk z jedyneką. Ruch zmartwiały, już nie. Jeszcze raz — nie — dwunastka — nie — jedenastka, dziesiątka, jedynka, piątka, siódemka, stop — nie — czwórka, wszystko — po kolei — nie. Nie ma prądu. Ale nie, lampka świeci, słychać muzykę. Chwila bezruchu. Jeszcze raz przyciski. Dźwięk organów nabiera wysokości. Szarpnięcie ciałem nie porusza kabiny. Między aluminiowymi listwami widać korytarz, naprzeciwko drzwi, na wysokości oczu kulista klamka. Palce wchodzą

między skrzydła drzwi, jedna ręka, druga, napięte mięśni, mocniejsze, jeszcze mocniejsze, płyty drzwi powoli rozchodzą się, ale tylko na siedem, osiem centymetrów. Po lewej stronie drzwi, na chropowatej ścianie rzymska cyfra VI. Muzyka milknie, przetrwana nagłym cieniem. W szparze lekko rozsuniętych drzwi, w dole, widać szyb windy; mroczniejący w głąb tunel z czarnymi szynami prowadnic. Coś się musiało zchrząnąć. Czerwony przycisk z napisem ALARM i z góry uderzając klując w czaszkę przeraźliwy dźwięk dzwonka. Dziesięć sekund tego bólu i cisza. Gdzieś w dole trzaskają drzwi, a więc są ludzie, chodzą, nie słychać jednak rozmów. Nasłuchiwanie przypomina o duszącym odorze mocz. Cholerna dzieciarnia. Jeszcze raz czerwony przycisk, dłu-

ale przedostaje się do środka, panoszy się i małymi kęsami pożera powietrze. Powietrze, przesiąknięte zgnilizną, rozkładem. Jakżeż rzadkie jest wyobrażenie człowieka o śmierci z braku powietrza. To z braku krwi się umiera, nie powietrza.

Warkocz rozrasta się, tężeje, nabiera rozmiarów, staje się silniejszy, od jego pęcznienia drżą ściany; twardy spłot dusi kabinę; jest coraz mniejsza, za ciasna, pod każdą ręką ściana, wszędzie blisko. Czerwony przycisk. W powietrzny warkocz wbija się gwałtownie metalowa spinka dzwonka, długa aż do zamierania. Psuje się? Rozchylone jeszcze raz drzwi nie ustępują. Gardłowy krzyk spowodowany wysiłkiem utrzymywania rozsuniętych drzwi wyskakuje na korytarz, trafia w drzwi z numerem 36 i echem rozprasza się po kątach. Ale ludzie zza drzwi 36 nie reagują, widocznie ich nie ma. Drzwi zostają wygwizdane. Na palecach pozostaje czerwony odcisk rowków z aluminiowej listwy. Rosa na plecach przykleja koszulę. Ta przetrwana jazda nabiera potwornej duszności. Można by po prostu spaść w dół, na dół — widziałem to nieraz — są jakieś zabezpieczające sprężyny, zślaz by nas nie trafił.

Przyciski jeszcze raz. ALARM. Drżąca ze strachu i duszności noga odrywa się od podłogi i rozwścieczony but wali podszwą w drzwi. Łomot roznosi się po tunelu i miesza z warkoczem. Na drzwiach pozostaje tylko odcisk podszwy. Coraz szybszy oddech. Czyż ludzi odpędzono od tej windy? Jest jeszcze druga... Nasłuchiwanie. Po dziesięciu minutach dochodzi szum drugiej windy. Przycisk jedynka, czerwony, but w drzwi, gwizd. Jeszcze raz. Nic. Kabina znowu się skurczyła. Odpuść, bo jadowity wąż warkocza zaczyna dusić szyję. Nagle jeden spłot warkocza wyślizguje się, muzykę wylączone. W kieszonce na lewej piersi paczka papierosów. Duszno, ale chce się palić. O bezcelna złośliwość losu, w tym przerwany spądaniu zabrakło ognia. Plecy osuwają się po ścianie, podszwy docierają do przeciwległej ściany. Dajcie choć zapalki.

Wskazówki powędrowały już w stronę godziny 13. Ze zdwojoną siłą opadł znowu organowy warkocz. Melomanów należy wystrzelać! Kroki, kroki, tak, ludzkie kroki. Do drzwi. Usłyszał, podszedł. Znowu mozolne rozsuwanie drzwi. Widać jedno oko z przyszczałej twarzy człowieka. Na korytarzu, ale też zroszony upałem. Krótka rozmowa. Pomoże, pójdzie zawiadomić windziarkę. Dobroduszenie wciska zapalki w szparę, ale nie widać jego całej twarzy.

Dym wypełnia kabinę, rozchodzi się jednak. Obywa się bez dopełniania duszności. Mija pół godziny oczekiwania. Drugi papieros splata się już z warkoczem i wrasta w ściany kabiny. Jeszcze jeden papieros, to już dobijanie się w tej celi, do tego kaszel z podrażnionego gardła. Lepiej nie krzyżeć, nie stukać, zadzwonić. Czerwony przycisk. Piskliwy głos windziarki z góry. Jest, jest. O Pani, zdejmij ten warkocz ze zdławionego gardła. Kabina szarpnęła ostro i posunęła szybko w górę, wyżej, wyżej. Warkocz zaczął opadać w głąb szybu. Dwunaste piętro. Drzwi rozsuwają się. O Boże, ile przestrzeni. Szczęk zasuwanych drzwi. Głupia cisza, zmęczone organy zamilkły. A teraz schodami w dół, schodami, po trzy, cztery stopnie, w dół.

Chłód podcieni wieżowca i słoneczny parking przed restauracją. Jakże ziemia przyciąga, jakie ciężkie nogi, podszwy czują gorący asfalt. Tylko ręce jakieś rozbiegane, wyswobodzone. Powietrze gorące. Bez ścian.

WINDA

Jerzy Krzysztof Misiec

żej. W szybie windowym jakieś przeciągi, bo zapach mocz faluje od podłogi do sufitu. Gazeta z otworu wentylacyjnego daje się wypchnąć na zewnątrz. Jeśli twarz przytuli się do ściany, widać górną część szybu, w nim zwisające grube liny. Ich widok pachnie towotem czy czymś w tym rodzaju. Odgłosy ludzkiej bytności znowu milkną, ale przecież tam, w górce, jest ktoś, kto rządzi tą windą, jest nawet specjalne pomieszczenie dla windowego, jeśli tak się nazywa. Zresztą po rosyjsku czy po litewsku nazywa się na pewno inaczej. Ze też nikt nie lazi na piątym lub szóstym piętrze.

Po dwudziestu minutach robi się duszno, podwojna trumna windy wydaje się nie starczać dla jednostki, a co mówić o kilku osobach. Jeszcze raz czerwony przycisk. Zaraz po dzwonku znowu spada muzyka Bacha. O ironio losu, nogi już na nizinach piątego piętra, a głowa jeszcze na wysokościach szóstego. Muzyka powoli, ale coraz głośniej przecieka do windowego tunelu. Jest dostojna, poważna, ale nie pogrzebowa, przechodzi w monumentalny potok, majestatycznie wypełniający tunel nad głową. Organowe dostojństwo miesza się zgodnie z agresywnością upału, splata się w jeden kilkudziesięciometrowy warkocz i ten warkocz porasta kabinę już nie tylko na zewnątrz,

DEBIUT

Piotr Jankowski

PENDERECKI - POLSKA 1980

Już przestali grywać
I dobrze i basta
Rudy dyrygent
Smyczkiem konia chłozcze
Z żyrandola złotego
Schodzi już maskara
To czekanie na jutro
Chrystusa nowego
Pod nogami skopany
Cicho werbel kwili
Imbecyl całkowicie z naruszonym mózgiem
Nikt mu nie pomoże
Tu poważne rzeczy
Wpełznął wąż spisku
Jabłko zdrady pęka
Czarny fortepian i struna
Żelazna pijawka
Uciekaj nieszczęśliwu zawszony nutami
Nie dla ciebie muzyka wiersze swoje pisze.

Kamena str. 10

HITLER - EUROPA 1944

Ludzie grzeszyli i grzeszą
Chrystusa za mało
Biskup za ołtarzem denaturat pije
Ja dom swój oglądam
Bastylię bez końca
Żar kapie na głowy
Kamieniami sypie
Ewo posłuchaj
Nie my jedni grzeszni
Pyton nienawiści dusi naszą matkę
Południki pękają
Kocham te dźwięki
Śmierć jest moją panią
Ewo popatrz kamienie się toczą
To gruzy olimpu
Pies rozrzuca rudy
Atlas załamany
Tak to degenerat
Choć wiem
Pan wróci i wszystko naprawi.

WERSZ DELIRYCZNY

Tu zdycha alkoholik
Nikt po nim nie płacze
Przez szpary się wkradła

Smutna pani ś Straszenie
Ona tu z obowiązku
Jak nadzieja robi
Tam poza ramami realnego świata
Nektaru się napije —
Bachus podczaszycem

Butelki w kącie dzwonią
Modlitwę do pana
On zrozumie
Choć do siebie gada
Wygryzł jad
Z wnętrza szkła
On
Ich bezjęzyczny prometeusz.



„Źródła”

Kolumny zredagowali:
Jerzy Krzysztof Misiec
Waldemar Żelazny
Stanisław Żurek

POCZTA literacka



Ewa J. Kropiecka Pani czterostronicowy list uzasadniający decyzję przystąpienia do pisania dużej powieści. Ale: osiemnaście wiosen to jednak wiek, który każe mi z niepokojem myśleć o randze tego dzieła. „Mimo lenistwa zebrałam wiele materiałów, wiele własnych wspomnień, a także wiele opowiadań moich koleżanek i kolegów”. Lenistwo dość często jest zaletą wielkich — pod warunkiem, że już są wielkimi. Pani — jeszcze nie. Jeszcze jest Pani tylko niejaką Ewą J., córką „zamożnych rodziców”. Zaczyna być fascynująca, jak Pani pogodził swoje lenistwo, osiemnaście lat, zamożność rodziców i kilka jeszcze innych cudownych darów — z morderczą pracą powieściopisarza. Jakże tchórzliwy — w tym kontekście — jest znany pisarz Andrzej Kuśniewicz, który pierwszą powieść spłodził gdzieś w okolicach pięćdziesiątki.

Allan. (?) Na kopercie adres „Kameny”, wewnątrz list i zdanie: *Pozwalam sobie zakłócić pełną artystycznych orgazmów atmosferę towarzyszącą poczynaniom redakcji „Nowego wyrazu”*. Co będzie, gdy list do Barbary włoży Pan do koperty z adresem Małgorzaty? Ponieważ wiersze, którymi chciał Pan uszczęśliwić redakcję „Nowego wyrazu” dojechały jakimś cudem do „Kameny”, odpowiadam za obie redakcje: nie nadają się do druku.

Mieczysław K. Lublin. W pełnym apokaliptycznych wizji wierszu o zbliżającej się zagładzie świata, po której ślad człowieka będzie wydarzeniem, jest zwrotka:

Ślad jego na ziemi
Będzie miłym znakiem
Tak jak wśród wędlin,
Szynka jest przysmakiem.

Mam pytanie: czy kataklizm obejmie również USA i kraje zachodnie? Tam szynka nie jest przysmakiem. Jest wędliną. Sieje Pan łania propagandę.

Anna J. Lublin. Studium sufitu, pisane „z pozycji” (to sformułowanie trzeba potraktować chyba dosłownie) osoby przykutej do łóżka, jest w pomysłach ciekawe, w realizacji trochę gadatliwe i mało udramatyzowane. Mam na myśli gadatliwość zdań nie znających skrótów, oszczędności słów, przemilczeń. Mało udramatyzowane — bo sufit, jako bohater opowiadania — powinien tętnić jakimś własnym życiem — a tętni tylko kłótniami sąsiadów z góry. „Gryzę brzeg kołdry w bezsilnej rozpacz” — to zdanie nie powinno wyjść spod pani pióra. Rozpacz — nigdy nie nazwana dosłownie — powinna tu wyleżeć z każdego kąta, sufitu, z każdego jego rysu, z odgłosu kroków sąsiadów. Skoro tematem w locie nie jest sufit, tylko rozpacz — istoty przykutej do tego sufitu, skazanej na sufit... Proponuję studium drzwi, okien... Mój Boże: Prostu, pisząc wielotomowe „W poszukiwaniu straconego czasu”, podobno przez lata był więźniem swojego pokoju!

Jarosław B. Łódź. Zatrzymuję do druku: „Zyje”, „Samotność”, „Dziś w nocy”. Szkoda, że cała „Rozmowa z nieobecna” znacznie ustępuje temu jej fragmentowi: wszędzie tam gdzie cię nie ma jest mi ciebie za dużo.

Janusz M. Malbork. Zupełnie nieudany wiersz o Wrześniu. „Chwila” jest obliczona na „głębię” i niezrozumiałość — i taką się stała. Najlepsze „Oczekiwanie” nagle kończy jakiś „biały ptak”. Jaki? Ptak czego? List? Słowackiego „biały gołąb smutku”?

Nie skorzystamy: Ignacy F., Zdzisław K. Jarosław, Witold K., Kraków, Krystyna Sz. Gniezno.

H. P.

EKRAN I WIDZ

Życie festiwalowe

JEŻELI ktoś sądzi, że aktor, reżyser czy krytyk wyjeżdżający na festiwal filmowy należy do tych wybrańców losu, którzy odrywają się o to od znoonej, codziennej, szarej pracy, aby gdzieś tam, w słonecznej dali, pędzić kilkunastodniowe dobre życie — grubo się myli. To prawda: festiwale filmowe odbywają się nierzadko w atrakcyjnych miejscowościach wypoczynkowych, ale są organizowane także w zupełnie „zwykłych” miastach, takich jak Oberhausen, Moskwa czy Gdańsk. No i zasada jest, że uczestnicy festiwalu siedzą przede wszystkim wiele godzin dziennie w ciemnych, zapchanych do ostatniego miejsca, salach kinowych. Kiedy późnym wieczorem wychodzi wrzeszczący człowiek na świeże powietrze, nie ma już zbyt wiele chęci na spacerowanie pod palmami lub podziwianie zabytków architektury.

Nie wypływajmy jednak na śródziemnomorskie wody Cannes czy kanały Wenecji, bo to i zbyt daleko, i zbyt drogo, i dłużej na zagraniczne de-

legacje spoczywają zamknięte głęboko w szufladach. Najprościej będzie, jeżeli pomkniemy ekspresem „Neptun” do rodzimego Gdańska...

Dziennikarz przybyły na tutejszy, zawsze we wrześniu organizowany, Festiwal Polskich Filmów Fabularnych chciałby mieszkać w eleganckim, nowoczesnym „Heweliuszu”, ale rachunków z owego hotelu nie zechce rozliczyć żadna redakcja! Niektórzy walczą więc o miejsce w „Monopolu”, pozujący na zwisowców proszą o pokój w starym, trochę przypominającym dom wycieczkowy „Jantarze” przy Długim Rynku; najmniej przedsiębiorczych upycha się w domach studentek w Gdańsku-Oliwie.

Uczestnicy tegorocznego VII Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych „Gdańsk-80” mieli do obejrzenia 23 filmy stające do konkursu, oraz 6 prezentowanych w ramach tzw. sekcji informacyjnej. Oznaczało to, że codziennie czekało na nich od 4 do 6 seansów, czyli mniej więcej 7,5 godziny projekcji. Jeżeli kojarzy się to komukolwiek z „normalnym, pełnowymiarowym” dniami pracy, to służę dokładniejszymi wyjaśnieniami. Oto, dla przykładu, „rozkład zajęć” z 10 września 1980 r.:

„Godz. 10.00 — konferencja prasowa — spotkanie z twórcami filmu „Bez miłości”. Godz. 11.00 — pokaz konkursowy „Golem” (92 min.) reż. Piotr Szulkim. Godz. 12.45 — konferencja prasowa — spotkanie z twórcami filmu „Golem”. Godz. 15.00 — pokaz konkursowy „Zielone lata” (102 min.) reż. Stanisław Jędrzyka. Godz. 16.45 — konferencja prasowa — spotkanie z twórcami filmu „Zielone la-

ta”. Godz. 18.00 — pokaz konkursowy „Grzeszny żywot Franciszka Buły” (106 min.) reż. Janusz Kidawa. Godz. 22.00 — konferencja prasowa, spotkanie z twórcami filmu. Godz. 21.00 — pokaz konkursowy „Przed odlotem” (96 min.) reż. Krzysztof Rogulski. Godz. 23.00 — pokaz informacyjny filmu TV „Na własną prośbę”, reż. Ewa i Czesław Petelscy.”

Wystarczy na jeden dzień? Nie, nie wystarczy. Bo jeszcze w przerwach trzeba dopaść reżysera czy aktora, z którym umówiło się na rozmowę, przeprowadzić wywiad, zasięgnąć informacji na festiwalowej „gieldzie”, przeczytać, co piszą w ukazującej się codziennie festiwalowej gazecie, podyskutować „prywatnie”, wreszcie — pozostałą nieliczną minutę na zjedzenie obiadu, kolacji... Koledzy z prasy codziennej muszą na dodatek napisać i wysłać wieczorną korespondencję do swojej gazety.

Raz w ciągu trwania festiwalu jest tradycyjna „rozrywka” dla uczestników — przyjęcie na promie „Rogalin”, gdzie jesie dają na koszt organizatorów. Natomiast alkohol sprzedają (po odpowiednich, „promowych” cenach) w barze.

Nie wszyscy wszakże udają się na „Rogalin”. Jest to jedyny wieczór, kiedy można wreszcie odpocząć w hotelu. Nie kusci ich nawet — legalnie prosperująca na promie — ruletka. Może by i dała komuś złudzenie wielkoświatowej, canneńsko-festiwalowej atmosfery, ale jakie tu numery obstawiać z czterdziestolotowej diety delegacyjnej?

M. D.

OKOLICE SZTUKI

Humor z Orońska

TRZYSTA metrów za knajpą jest parking: między drogą E7, a metalowym ogrodzeniem, w bardzo dobrym miejscu, skąd najpierw widać staw niewielki za owym płotem, ładny przez rzeźuchę, ale jakby trochę zaniedbany. Przykryta szerokim okapem puszystej trawy, woda zbiorniczka niepostrzeżenie przechodzi w rozległą polanę — coś w rodzaju plateau, na którym nie innego, tylko rzeźby stawiać, najlepiej jasne, z piaskowca, granitu czy marmuru, a więc z kamienia, w jaki obfitują te okolice. W samej rzeczy — są już na tej miękkiej płaszczyźnie rzeźby wysokie i szerokie, figuralne i abstrakcyjne, wszystkie lekko omszałe, zielonkawe i przybrudzone zaciekami wody deszczowej, która tnie je chyba od lat.

Przechodząc kładkę nad strumieniem, wstępując na ścieżkę pokrętną wśród szpalerów i niewielkich polanek, wszędzie tam widzę rzeźby. Niektóre trzymają się krzepko, ale dzik ceramiczny, zmyslnie ukryty w trawie; jakby zbliżył przed autorką, popękał już nieco, ziemię i mchem zakwitł — może zdechł z samotności, z tęsknoty za salą wystawową i publicznością? Jakiś jegomość utrwalony w kamieniu przewrócił się natomiast i po prostu, idąc w ślady sporej kompozycji, przedstawiającej zapewne macierzyństwo, którego smrotę liściście kryją lopotany, ciemną zielenią i szarym srebrem swych liści nachylone nad piaskowcem.

O tym parku mówi się, że jest romantyczny nie tylko metryką, ale i nastrojem, który przenika ponoć całe 12 hektarów traw, strumieni, zagajników i małych polanek. A ja tymczasem czuję się, jakbym przemierzał cmentarz.

Doprowadzony aleją do zgrabnego parterowego budynku, we fragmentach sięgającego piętra, staję oto przed obrazem nędzy i rozpacz. Łuszczą się tynki na spekanych tu i ówdzie murach, aż cegła rzuca się w oczy; obok okien z firankami, za którymi ktoś się porusza, widać ślepe otwory brutalnie zabite deskami; po ścianach pną się przewody anten telewizyjnych, przeprowadzone byle jak — jak w slumsach. A na wyniosłych głowicach klasycystycznych kolumn portyku, uformowanych zgrabnie, dło-



Fot. I. J. Kamiński

nią fachową i cierpliwą, stoją dwa kobiece posągi akroteryjne: lewy bez dłoni, prawy bez ręki całej.

Tak oto wygląda dziś pałacyk Józefa Brandta, wzniesiony około 1840 roku w Orońsku. Zgodnie z tradycją, budynek wykorzystywany jest od lat przez, ma się rozumieć, artystów, konkretnie — rzeźbiarzy, kierowanych tutaj na plenery przez Zarząd Główny Związku Polskich Artystów. Plastyków. W katalogach wystaw poplenerowych, które odbywają się co dwa lata, rzeźby w pejzażach romantycznego parku wyglądają pięknie, a pałacyk zyskuje dawną świetność dzięki pewnym zabiegom fotograficznodrukarskim z użyciem sreberka.

W sponiewieranym pałacu mieszka tylko kilku rzeźbiarzy, reszta pracuje, śpi oraz śpiewa w dużych i funkcjonalnych pracowniach, przerobionych niegdyś pod okiem Andrzeja Chodorowskiego z Krakowa z dawnych stajni dworskich.

Warunki mam świetne, narzędzia, materiały, dach nad głową otrzymujemy bezpłatnie, tylko po sezonie, który trwa od czerwca do końca października, płacić trzeba 100 złotych dziennie. Tak, Orońsko to wymarzone miejsce pod słońcem dla rzeźbiarzy — informuje komisarz pleneru, a inni arteści skwapliwie potwierdzają jego opinię.

Pytam o rzeźby parkowe, leżące bezładnie w trawie.

— Wieczorami różni tędy przechodzą, pijacy — słyszę w odpowiedzi. — Pracownikom ośrodka trudno dopilnować wszystkiego, bo mało ich.

Słyszałem wcześniej, że miejscowa ludność szanuje rzeźby, chwali się plenerami, a uczniowie szkoły podstawowej opiekowali się nawet dziełami, dopóki mieściła się ona w pałacu.

Słyszałem też, że personel ośrodka liczy kilkanaście osób, są wśród nich dozorczy nocni, sprzątaczkę, trzech pracowników technicznych, elektryk, kierowca, kowal na pół etatu oraz ogrodnik, nie mówiąc o dwóch kucharkach (jadalnia w pałacu), magazynierze, księgowej i pani dyrektor Irenie Olszewskiej...

Zarząd główny polskich artystów stać na wiele, m.in. na kamienne popiersie dawnego właściciela pałacu, które ulokowano na cokole z napisem informującym, że portret przedstawia „Malarza polskiego, założyciela szkoły malarskiej”. Naszych artystów stać też na poczucie humoru: postawili Brandta tak, że chcąc nie chcąc musi patrzeć na postępującą ruinę swojej posiadłości, na której czernią się dwie kalekie rzeźby...

IJK

